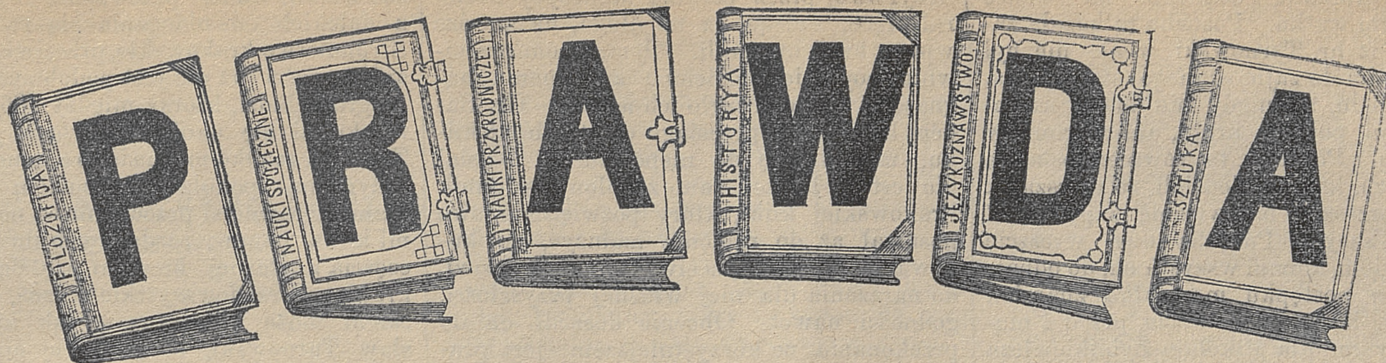
Nr. 35. Warszawa, dnia 30 (18) Sierpnia 1890 r. Rok X.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka:* Trzeci układ, — Dymisya marszałka i agonia stronnictwa, p. A Witskiego. — Listy społeczno-polityczne o Francyi, II, p. Leona Winiarskiego. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* Awizacya (Wspomnienie z czasów studenckich), p. A. G. Bema. — *Życie społeczne:* X-ty międzynarodowy zjazd lekarski w Berlinie, p. X. — *Badania naukowe:* Monopol przemysłowy w Ameryce, p. K. R. Żywickiego. — Kartki naukowo-artystyczne. — *Literatura i sztuka:* Realizm przed sądem, p. Ladawę. — Aleksander Głowacki (Bolesław Prus), IV. — *Fejleton:* Liberum veto, p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu, p. Z. Atanazego. — Kronika. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

TRZECI UKŁAD.

Jeżeli nawet dzienniki liberalne wyrażają swe uznanie dla Salisburego, to widocznie szanowny lord dokonał świetnych obrotów politycznych. Rzeczywiście tak jest. Podczas gdy inne mocarstwa rozszerzyły znacznie upust wydatków na wojsko, Anglia zwiększyła olbrzymio obszar swych posiadłości i przypływ dochodów. Zawdzięcza ona to Salisburemu, który w ciągu paru tygodni zrobił trzy zręczne operacye: zawarł jeden układ z Niemcami, zyskawszy przezeń rozległe przestrzenie w Afryce za drobną wysepkę bez wartości, drugi — z Francyą, przyznawszy jej łup dawno zdobyty, trzeci wreszcie — z Portugalią, skrzywdziwszy ją tak, jak tylko silny skrzywdzić może słabego, kiedy mu zdusi gardło i każe podpisać „dobrowolną umowę.“ Jeżeli wogóle jakiekolwiek państwo europejskie — zauważa słusznie jedna z gazet niemieckich — mogło rościć sobie prawo do krajów, obejmujących terytorya Mozambiku i Angoli, to tylko Portugalia, której pretensye uznały Niemcy i Francya, a nawet niedawno Anglia. Ale rozmaitym „towarzystwom“ i misyom afrykańskim udało się wreszcie nakłonić rząd angielski do popełnienia gwałtu na Portugalii i zagrożenia jej, w razie oporu, siłą. Na przebieg tego gwałtu rzucają jasne światło świeżo ogłoszone w paryskim *Temps* wyjaśnienia Serpa Pinto, który niedawno tak rozdrażnił Salisburego, że aż z jego strony wywołał *ultimatum*. Ciekawe to są dzieje. Zadanie powierzone Pincie w Afryce przez rząd portugalski było czysto naukowem. Miał on towarzyszyć komisyi, wysłanej na studya inżenierskie, dla przeprowadzenia kolei żelaznej w tych okolicach rzeki Szyry, gdzie ona skutkiem wodospadów nie jest spławną. Wziął on z sobą 500 ludzi, z których 200 pozostawił komisyi, a z 300 udał się dla zbadania rzek, które łącznie z drogą żelazną służyć miały założonej przed kilku laty stacyi portugalskiej Mponda (na południowym cyplu jeziora Nyassa) do połączenia z morzem. Przybywszy do Mpasso, dowiedział się, że makalole dalszemu jego pochodowi stawiać będą opór. Król ich należał do najdzikszych władców murzyńskich i był ciągle pijany. Pinto widząc, że jego 300 ludzi nie podoła 14,000 wojownikom makalolskim, powrócił i doniósł swemu rządowi o napotkanej zaporze. Dodano mu 7,000 kafrów i kilka armat — z tą siłą wyruszył przeciw makalolom. W bitwie poległ król, ale jego zastępy uzbrojone były dobrymi karabinami i zadały kafrom ciężką porażkę. Raz odparci, wrócili makalolowie znowu, niosąc chorągwie angielskie, które wszakże utracili. Wreszcie po wielu utarczkach poddali się, oświadczywszy Pincie, że do wojny popchnęli ich anglicy. Ci ostatni, za zgodą rządu portugalskiego, założyli w Blantyre (nad Szyrą) misyę, a ich „Towarzystwo morskie“ — stacye — gdzie osiadło ogółem 25 ludzi, łącznie z kobietami i dziećmi. Taka tylko drobna garstka anglików przebywała w tym kraju, który teraz posiedli — wszędzie zaś panowali portugalczycy. Misyonarze, spostrzegłszy bogactwo tej ziemi i postępy władztwa portugalskiego, podniecili makalolów do wojny. Na odbytej naradzie większość była przeciwną temu wystąpieniu, ale król przeważył szalę zdań na stronę wojny. Po pierwszej porażce misyonarze dali im dwie chorągwie angielskie i powiedzieli: „Są to fetysze; nieście je na przedzie, a zobaczycie, że biały wódz każe swym żołnierzom broń złożyć.“ Naturalnie fetysze nie nie pomogły. Później towarzystwo wystąpiło do Pinta z żądaniem odszkodowania go za stracony majątek, dołączywszy szachrajski rachunek, w którym to, co było warte franki, oceniono na funty szterlingi. Gdy rząd portugalski odmówił, angielski domagał się „wyjaśnień,“ a następnie położył swą lwią łapę na posiadłościach portugalskich, zagroził wojną i rozpoczął proces dyplomatyczny, zakończony właśnie obecnym „układem polubownym.“ „Gdyby na ziemi istniała jakakolwiek sprawiedliwość — tak zakończył swą opowieść z rozpłomienionem okiem badacz portugalski — powinnaby przeciwnie Portugalia zażądać od Anglii wyjaśnień. Niema bowiem innych słów do scharakteryzowania postępku anglików w tej sprawie, tylko: to są złodzieje i rabusie.“

„Cały świat — powiada *Frankf. Ztng*— nietylko zrozumie, ale usprawiedliwi gniew Serpa Pinty, i należałoby żałować, gdyby jego słowa nie rozbrzmiały w najszerszych kołach Europy. Bo chociaż one nic nie pomogą portugalczykom, otworzą szerzej oczy światu na postępowanie Albionu.“

Lord Salisbury wszakże, mając trzeci układ w kieszeni, śmieje się zarówno z tych żalów, jak z tych ostrzeżeń.

DYMISYA MARSZAŁKA
I AGONIA STRONNICTWA.

Dymisye, bankiety, nominacye, odznaczenia stanowią oddawna ponętną pastwę dla piór dziennikarskich. Nikt nigdy nie chce uważać ich, jako wyników garści prostych i zwyczajnych przyczyn, jeno dopatruje się w nich owocu całego szeregu okoliczności wielce złożonych, a przedewszystkiem tajemniczych i mrocznych. Interes, zwykły interes handlowy nakazuje pismom postępować w ten, a nie inny sposób. Tajemniczość posiada dla mas dziwny urok; ludzie chętniej i częściej chwytają gazetę do rąk; codziennie bowiem napotykają na owych płachtach papieru, czernidłem drukarskiem nacentkowanych, moc świeżych pogłosek, zaprzeczeń, docinków, gromów, zachwytów, które budzą w ich umysłach to oburzenie, to radość naprzemiany.

Nie inaczej stało się i tym razem, gdy na bruku lwowskim, a później w całej Galicyi rozbiegła się wieść o porzuceniu przez Jana hr. Tarnowskiego laski marszałkowskiej. Posucha, trapiąca w lesie nie tylko roślinność, lecz również i ciekawość

ludzką, rozdęła owo zrzeczenie się do rozmiarów dramatu, osnutego na wielce dźwięcznym wątku. Posucha ta kazała zapomnieć, iż hr. Tarnowski wcale nie był odpowiednim do zajmowanego stanowiska, a to z powodu, że nigdy nie badał samodzielnie ani potrzeb kraju, ani warunków jego bytu. Posucha ta również osłabiła pamięć tych, którzy wiedzieli, że marszałek od roku przeszło ustawicznie zapowiadał swą abdykacyę. Posucha owa wreszcie skłoniła wielu, niemal wszystkich, do odnajdowania w postępku marszałka znamion katastrofy, która onego czasu, przed 4 niespełna laty zmiotła Mikołaja Zyblikiewicza z marszałkowskiego fotelu. Wówczas i dzisiaj przyczyną ustąpienia miało być nieporozumienie między przedstawicielem rządu, namiestnikiem, a przedstawicielem kraju, marszałkiem. Wówczas atoli wrzał spór czysto osobisty, spór, który, na Filipa Zaleskiego rzucił cień posępny; dzisiaj znowu waśń rzekomo powstała z powodów głębszych i rozgałęzionych, czerpiących swe soki w Wiedniu i w tradycyach centralistyczno-habsburskich. Inni natomiast objaśniali zajście owo w sposób całkiem odmienny. Marszałek — prawią oni — obraził się na namiestnika z powodu, iż tenże wszędzie a wszędzie wysuwa się na pierwszy plan. Hr. Tarnowski ustąpieniem swem tedy protestuje przeciw takiemu lekceważeniu samorządu prowincyonalnego. Istotnie — dodawał ten i ów, grający rolę dobrze wtajemniczonego — rzeczy podobnie się miały, lecz Badeni nie tutaj nie winien. Jego postępowanie wypływa z woli gabinetu wiedeńskiego, który obawiając się federacyjnych zachcianek, polecił wszystkim namiestnikom i prezydentom krajowym dobitniej zaznaczać przewagę korony. Słowem pogoń za sensacyą!

Prawdziwi przecież znawcy stosunków galicyjskich piszą bardzo odmienną glossę na marginesie marszałkowskiej abdykacyi. Hr. Tarnowski od samego początku jedynie tymczasowo piastował laskę, wbrew woli własnej i chęci. Zmuszali go jednak do tego jego przyjaciele. Klika stańczykowska bowiem koniecznie pragnęła u steru władzy posiadać swojego człowieka, by i sprawy wszelkie według myśli własnej przeprowadzać, i ogółowi wpoić przekonanie, że jest naczelnem, rządzącem stronnictwem w Galicyi. Podobny plan skłonił ją również do popierania hr. Badeniego przy obsadzaniu stanowiska namiestnika. Po podpisaniu nominacyi owej przez cesarza stańczycy zacierali ręce, sądząc, iż na długo, na zawsze wpływ swój utrwalili. Tymczasem przeciwnie poparcie, udzielone ambitnemu magnatowi, przyśpieszyło ich agonię. Hr. Badeni bowiem, w przeciągu ostatnich lat kilku, zmienił się do niepoznania. Dzisiaj nie jest to już ten sam zapalony stronnik krakowskiej kliki, który poświęcenie swe posuwał aż do robienia nadużyć, do kupowania głosów przeciw Romanowiczowi, do narażania dla niej własnej przyszłości, godności nawet. Obecnie doszedł on do przekonania, że korzystniejszem jest pracować dla siebie, dla opromienienia własnego nazwiska, dla powiększenia własnej władzy, aniżeli dla gromady karyerowiczów, z których każdy przy stosownej sposobności „podstawiłby mu nogę. Badeniowie oddawna, od stu lat słyną, jako rodzina bardzo zapobiegliwa, zręczna, ambitna, przewodzenia żądna. Dzisiejszemu namiestnikowi przyświeca nadto bezwątpienia jego głośny, trzykrotny poprzednik, Agenor hr. Gołuchowski, który i dla kraju i dla domu swego niezmiernie wiele zdziałał. Pierwszemu nadał obecną jego prawnopolityczną powierzchowność, oczyścił go z niemców, stworzył nowe drogi i cele rozwoju; drugi postawił tuż obok z najpierwszych rodzin magnackich, zrównał go z wszechpotężną, przed trzema dziesiątkami lat familią Potockich, mającą na czele dwu takich półbogów, jak hr. Adam i hr. Alfred. Co hr. Badeni zamierza uczynić dla Galicyi, trudno wiedzieć; dotychczas czytaliśmy i czytamy jedynie o jego dobrych chęciach, podróżach i mowach. Jedyną nowość pożyteczną stanowi rygor, zaprowadzony wśród rozbawionych i rozleniwiałych urzędników namiestnictwa lwowskiego. By zaś wywyższyć ród swój i opromienić własne stanowisko, odsuwa obecnie widocznie stańczyków od steru samorządu krajowego i marszałkowstwo tak długo (boć i Zyblikiewicz zaliczał się do ich grona) przez nich piastowane, oddaje w ręce Eustachego ks. Sanguszki, przedstawiciela centrum sejmowego, do którego i brat jego rodzony należy. Tutaj zauważyć trzeba, że pośrednio postępek ów, podszepnięty czysto osobistą zawiścią, wpłynie właśnie dodatnio na sprawy krajowe. Centrum bowiem mieści w łonie swem zachowawców, lecz nie tak skrajnych, jak stańczycy, zachowawców, niekiedy łączących się z lewicą mieszczańską, ludzi przeważnie rozumnych, a dalekich od ubiegania się za karyerą. Stronnictwo krakowskie, przeciwnie dzisiaj, ani w części już nie jest podobnem do owego grona ludzi, którzy między 1867 — 1870 r. skupili się około *Przeglądu polskiego*. Tamtym rzadko można było zarzucić wprost ordynarną spekulacyę uczuciem i programami; teraźniejsi przeciwnie są najemnikami kilku panów, rozdających im synekury częścią z własnej kieszeni częścią kosztem kraju. Przedewszystkiem zaś, z wyjątkiem może kilku tuzów jak np. Stanisław Tarnowski, oglądali się oni na Potockich z Krzeszowic i byli właściwie klientami tych bajecznie bogatych patrycyuszów. Przedwczesny zgon hr. Adama, a teraz hr. Artura zachwiał przeto podstawy bytu kliki, zachwiał tem silniej, że następca, hr. Andrzej widzi jasno, komu i na co służyły pieniądze, wyrzucane przez ojca i brata. Z ich to kieszeni paśli się ludzie, kupczący konserwatyzmem, jak Łódź perkalikami; z ich to kieszeni rosły wszelakie karyery wielu mężów stanu, którzy wnet zapominali niemal o swej narodowości. Człowieka praktycznego i zapalonego myśliwego nie nęciła wcale rola drzewa, spowitego zwojami pasorzytów. Otrząsł się z nich więc, zapowiadając na początek, iż cofa zapomogę niedołężnie od lat dziesięciu prowadzonemu *Czasowi*. Powstał wielki gwałt; aż wreszcie matadorzy kliki wymogli na młodym hrabiu, że obiecał płacić rocznie niewielką sumę dzierżawcy tego dziennika; staruszek zatem po tylu latach wysługi spadł na poziom wyranżerowanego wierzchowca, zmuszonego wozić wodę... spekulantom.

Ta obojętność właśnie urodzonego przywódcy stańczyków ośmieliła namiestnika do stanowczego kroku. Wydzierając klice władzę, pragnie przeciągnąć na swoją stronę przedewszystkiem wszystkich ludzi chwiejnych, po drugie skupić około siebie te żywioły, które łączyły się ze stańczykami gwoli zysków, po trzecie wreszcie związać się z centrum i zmienić je w sojusznika. Nie w dobrowolnem tedy ustąpieniu hr. Tarnowskiego spoczywa doniosłość sprawy, jeno w już teraz wiadomym wyborze jego następcy. Stańczycy zaś, którzy początkowo nie sprzeciwiali się owej dymisyi, sądząc, iż znowu przeprowadzą własnego kandydata, dzisiaj popadli w osłupienie, zło-

---

AWIZACYA.

(Wspomnienie z czasów studenckich).

Miałem dwudziesty drugi rok życia i byłem jednostką, która lada chwila w opinii zacofańców mogła otrzymać nazwę „człowieka skończonego.“ Stały mój dochód miesięczny wynosił rs. 12. Szóstą jego część pochłaniało komorne: dwunastą odbierała praczka; dwudziestą czwartą — nastawiający samowar, nosiwoda; reszta szła na utrzymanie najcenniejszego z organów — żołądka. Ale ten gospodarz organizmu fizycznego padał często ofiarą mojej... przewrotności. Zamiast, w miarę sił, mięsnemi nakarmić go potrawami, rzucałem mu na pastwę liche łakocie (w rodzaju pierników lub karmelków), a co gorsza, okradałem często jego ubogą kasę, pielęgnując popędy, zdrowemu zwierzęciu ludzkiemu całkiem niepotrzebne — ba, nawet szkodliwe. Chodziłem np. czasami do teatru — i to nie na paradyz (uszlachetniony odwieczną tradycyą mądrego Staszyca), ale (o zgrozo!) na galeryę nienumerowaną. O innych nadużyciach ekonomicznych z owego czasu wspominać nie będę — może cień tych grzechów zbieleje obok późniejszych i w „godzinie sądu“ za kapitał obronny posłuży.

W maju i czerwcu 18.. roku życie moje dość równem płynęło korytem. Dnie dzieliły się na egzaminowe i nieegzaminowe, suche i zapustne. Charakterystycznemi ich cechami były: szalona praca lub krańcowe próżniactwo; pożeranie smakołyków lub głód. Jeżeli nazajutrz miał być uroczysty przegląd mojego inwentarza umysłowego z tej lub owej dziedziny wiedzy, kawał dnia i noc poprzedzającą spędzało się przy książce bezsennie. Esencya herbaciana, jako napój, w małych dawkach zażywany, podtrzymywała czujność. Niekiedy, bywało, Morfeusz tak potężnym do siebie uściskiem przytuli, że zaśniesz na dobre, a obudzisz się dopiero wtedy, gdy wszystko już dokoła i szumi i huczy: zrywasz się nagle, ubierasz, pędzisz, pełen trwogi, do audytoryum, i, o dziwo! — składasz egzamin daleko lepiej, niż innym razem, gdy w ciągu jednej czy dwu nocy „esencya“ skutecznie na organizm oddziaływała. Po odbytej próbie następował zwykle sutszy posiłek (pół porcyi befsztyku z pół-bochenkiem chleba) i spacer w stronę Łazienek lub Cytadeli. Skrzydlaty Eros nie płatał mi wówczas żadnych figlów szczególnych. Oficyalną jego piastunką była panna Amelia, osoba, jak dziś wnoszę, znacznie starsza ode mnie. Bo „młodzież o piękności metrykę nie pyta...“ Wzrost miała średni; rysy twarzy dość regularne, oszpecone przydługim nieco, a w głąb już zapadającym noskiem; oczy piwne, włosy ciemno-płowe, rączkę kształtną i białą, umysł ubogi, wyobraźnię... częstochowską. Rano spotykałem ją w kościele św. Jana, a wieczorem — na ulicy, gdy... z magazynu wracała. Osobliwy to był stosunek: zawiązał się w chwilach krańcowej nudy i wlókł z dnia na dzień — powoli, na pół idealnie a bez kosztu, nie roszcząc sobie żadnego do przyszłości prawa: karmił on wprawdzie jakąś mdłą, raczej trawną, niż owocową słodyczą, ale spokoju nie naruszał, pragnień burzliwych nie wzniecał.

Mieszkałem w rynku Starego Miasta pod nr. 12. Śród pracy i wypoczynku, nim noc zapadła, kołatał mi ciągle do uszu, pełnym strumieniem płynący przez okno, wielki szum z placu targowego, a nader skomplikowane, właściwe tej dzielnicy powietrze kształciło po spartańsku mój zmysł powonienia. Ów rozgwar, będący wytworem tysiąca różnorodnych wrzasków, powinien mi był przypominać wielką arenę świata ludzkiego, gdzie spryt i siła pięści prawa stanowią, a pod różnemi hasłami praktykuje się stara, nieśmiertelna zasada: „Homo homini lupus.“ Wówczas jednak nie byłem jeszcze zdecydowanym pesymistą. Doświadczałem wprawdzie ataków głodu i wynikającej stąd rozpaczy — chodziłem nawet raz pod Cytadelę z zamiarem samobójczym; ale czy to zimna woda, pozcerpnięta z publicznego źródła, czy rozmysł i trwoga, wobec otwierającej się przepaści niebytu, tak skutecznie na rozstrój ducha wpłynęły, że z nadzieją lepszego jutra powracałem do domu.

wieszczy zwiastun dalszego rozprężenia. Nadchodzące obrady sejmu galicyjskiego z pewnością jaskrawo oświecą ów nowy przełom w polityce wewnętrznej kraju.

A. Witski.

LISTY SPOŁECZNO-POLITYCZNE O FRANCYI.

II.

„Sezon martwy" rozpoczął się w polityce na dobre. Będzie to bezczynność „sans phrase," a sztuczki ministeryalne rozgrywać się będą zupełnie już bezkarnie, nie obawiając się komedyi interpelacyjnej. Na jedną z takich sztuczek rzucił temi dniami jaskrwe światło p. Paweł de Cassagnac, ogłaszając list ministra finansów, pana Rouvier, w którym ten oświadcza senatorowi z Landes, iż protegowany jego w żaden sposób posady rządowej pierwszego stopnia otrzymać nie może, albowiem trzykrotnie był przez sąd skazany; musi się więc kontentować tylko miejscem klasy drugiej. Pan de Cassagnac słusznie dodaje, że gdyby na protegowanym senatora Landes, ciężyło przynajmniej sześć wyroków, to napewnoby żądaną posadę pierwszego stopnia otrzymał. Istotnie strach pomyśleć, w czyich rękach losy Francyi się znajdują: najwyszukańsze łotrostwo rozpiera się tu bezczelnie obok sprzedajności i szalbierstwa. A opinia publiczna?.. zapytacie. Biedaczka, tak już jest zniecząlona przez atmosferę zgnilizny, jaką ustrój burżuazyjny wytwarza, iż zajścia, w rodzaju powyższego, tylko trochę żółci i ironii wycisnąć z niej mogą. A zresztą cóż ma robić? Pana Rouvier mógłby zastąpić co najwyżej p. Tirard, lub inny jakiś p. Constans. Po władzę sięga we Francyi cała zgraja oszustów o długich rękach, wilczych apetytach i minach pełnych godności, które zdają się mówić: „pierwszy, kto ośmieli się nazwać mię po imieniu, padnie z mej ręki!"

Paryż rządowy, pieniężny i łgnący do zabaw — całe to gniazdo filutów, deputowanych, „spalonych" giełdziarzy, ministrów, kokotek, przedajnych żurnalistów, dyplomatów, „utrzymańców," rycerzy przemysłu i temu podobne robactwo, służące za przynętę dla zbankrutowych szlachciców i złotej młodzieży — popłynęło do wód, by wypłukać zbrukane ciało — nie sumienie (byłaby to praca lady Macbeth). Korzystając z tego, że te szumowiny społeczne, cuchnące rozpustą, z których sączy się nikczemność i demoralizacya, pod tchnieniem gorąca i cholery, grożącej z Hiszpanii, prysnęły na wszystkie strony, że wraz z tętnem polityki ustał gwar parlamentarny i „brouhaha" skandalów bulwarowych, zajmijmy się tym Paryżem, co skazany jest na wieczną „katorgę" pracy i co jak, lawa, wciąż nurtuje głębie wulkanu, tylko od czasu do czasu wybuchając z siłą, wyważającą świat ze starych jego podstaw.

Francyi pracującej poświęcimy kilka listów.

Starożytność, w najokropniejszych obrazach dzikiej, człowieczożerczej fantazyi, nie przekraczała sfery Molochów, pożerających po kilka, kilkanaście ofiar do roku. Przejmowało to ludzkość ówczesną takim dreszczem, iż dotychczas jego echa zgrozą się w nich odbijają. Świat obecny zna Molocha daleko okropniejszego, który na nieskończonej ilości stalowych ołtarzy wysysa krew i pot z żyjących pokoleń, a chwilami pochłania hekatomby, wobec których ludożercze instynkty bóstw starożytnych wyglądają, jak dziecinne igraszki. Molocha tego— kapitał, Zola ze zwykłą siłą w następujący sposób przedstawia: l'idole monstrueuse, cachée au fond de son tabernacle, dans cet inconnu lointain, où les miserables la nourissent de leur chair, sans l'avoir jamais vue."

Cmentarz w Saint-Etienne pochłonął w ciągu ostatnich trzech lat więcej, niż czterysta ofiar wybuchów kopalnianych. W pierwszych dniach sierpnia r. b. pogrzebano w nim zwęglone szczątki stukilkudziesięciu ojców i mężów, wydartych z łona tyluż rodzin. Potwór, ukryty w oddalonej pieczarze, dostał zwykłą hekatombę. Składają mu ją z daleko większą prawidłowością, niż tego jakiekolwiek rytuały pierwotnych narodów wymagać mogły.

Wszystkie zeznania robotników przed komisyą rewizyjną, wyznaczoną przez Izbę, świadczą, iż przyczyną wybuchu był brak najelementarniejszych środków ostrożności i hygieny, wywołany przez skąpstwo Kompanii i niedbalstwo a także sprzedajność inspektorów rządowych, który na braki te spoglądali przez palce. Rozumie się, niema najmniejszej nadziei, by winni ukarani zostali. Przedstawiając potęgę materyalną, ma Kompania zbyt wielki wpływ na władzę — sama wszakże karać się nie będzie. Co najwyżej straci miejsce kilku nieszczęsnych urzędników, a komisya rewizyjna już postarała się o wynalezienie sakramentalnej lampy „otwartej, przez nieostrożność" jednej z ofiar wybuchu, co miało być powodem okropnej katastrofy. Szczęściem, reżyserowie tej komedyi byli o tyle nieostrożni, iż cudowną tę lampę, umieścili o 50 kroków od głównego siedliska wybuchu — jestto, mówiąc nawiasem odległość zbyt znaczna, żeby katastrofa mogła nastąpić. Bądźcobądź możemy być zupełnie przekonani, iż na uroczystym obrzędzie sądowym szczupak - winowajca zostanie skazany na śmierć przez utopienie i w sposób najsolenniejszy wrzucony do morza. Komedya zostanie odegrana po raz setny bez zmiany.

Komedye te służą za najlepszą ilustracyę klasowego charakteru państwa. Burżuazya, która z niewinną minką, bijąc się w piersi i przewracając oczyma na wszystkie świętości przysięga, iż państwo jest bezsilne, iż rola jego powinna się redukować do przestrzegania „porządku," wie bardzo dobrze, co czyni. A ślamazarni ekonomiści ze szkoły „kateder socyalizmu," którzy ogłaszają państwo za „tertia persona," za postać unoszącą się niby ponad klasami i mającą rzekomo etyczne zadania, na zasadzie bodaj czy nie Kantowskiego „kategorischen imperativus," dają tylko dowody niedołęstwa myśli i służalstwa, które wzdycha do katedrek i uwija sobie w nich nader wygodne gniazdka.

W rzeczywistości państwo jest organizacyą klasy panującej, funkcyonującą w obronie jej interesów. Wydaje ono dogodne dla niej prawa i we wszechpotędze swej scentralizowanej siły stoi na straży ich wykonania. To nam objaśnia, czemu okropne katastrofy, w rodzaju powyższej, powtarzają się rokrocznie i powtarzać się będą bez końca, dopóki klasa robotnicza francuska nie będzie dość silną, by na szalę wypadków rzucić wagę świadomej i uorganizowanej potęgi. Tylko wówczas zarazem rozpocznie się okres poważnego prawodawstwa socyalnego. Przykładem Niemcy. Tylko w głuptasków można wmówić, iż państwo pruskie jest wcieleniem idei „dobra." W rzeczywistości jest ono organizacyą dwu klas panujących: junkrów i burżuazyi. Monarchia broni ich interesów wobec ludu, ale

---

Oczekiwała mię tu bardzo przyjemna niespodzianka. Zaledwo przekroczyłem próg sieni, wręczył mi stróż awizacyę pocztową, donoszącą o nadesłaniu „floty" nadzwyczajnej, z poważnym ładunkiem... rs. *pięciu*.

— Ahuramazda mai ùpastam àbara! (Ormuzd zesłał mi pomoc!) — krzyknąłem tryumfująco.

Zdanie to, wraz z kilku innemi, używane często w staroperskich napisach klinowatych, które niedawno pod kierunkiem profesora Papłońskiego studyowaliśmy, utkwiło mi w głowie tak dalece, że je przy lada sposobności powtarzałem.

Nastrój więc tragiczny rozwiązał się wesoło. Pieniądze można było odebrać dopiero nazajutrz, ale pewność, że je mieć będę, już dzisiaj wprawiała w humor szalony. Zapomniawszy o głodzie, począłem parodyować różne arye znane, a śpiew z *Roberta dyabła* — „Złoto, złoto jest chimera!" — powtarzałem kilkakrotnie, chociaż nikt ani „brawo," ani „bis" nie wołał. Do uszu moich dobiegł tylko cichy odgłos kroków z poza drzwi sąsiednich: ktoś ku nim podszedł i stanął — to ładna moja gosposia, pani Z., od której odnajmowaliśmy pokój, koncertu krzykliwego ciekawie, jak widać, słuchała. Miałem tedy... publiczność — *pojedyńczą* wprawdzie i ukrytą, ale uważną i... bardzo interesującą. Czegóż jeszcze pragnąć mogła skromna ambicya domorosłego śpiewaka? Odwilżając gardło od czasu do czasu wodą słodzoną, wyszukiwałem w swej pamięci coraz to inne, coraz żwawsze kawałki. Pani Z., mężateczka w lekkim, Dumasowskim stylu, nie odstręczała bynajmniej surową moralnością. Można się było w końcu odważyć na publikacyę wokalną słono-pieprznej sielanki, przypisywanej Węgierskiemu. Huknąłem więc z całej siły swawolną piosenkę.

Odpowiedzią był zaledwo tłumiony, dziwnie wyzywający a wesoły śmiech srebrzysty. Nie ustawał on, chociaż umilkłem. Chwila zapału pseudo-artystycznego minęła, a obudziła się natomiast chęć zawiązania pogawędki z przegrodzoną drzwiami... łaskawą publicznością.

— Dzień dobry pani — rzekłem. Zdawało mi się, że nikogo tam niema; przepraszam stokrotnie za wrzaski.

— Nic nie szkodzi, owszem, niech pan dalej śpiewa. Takie teraz nudy...

— Eh, niema się czem popisywać; ale na nudy znam inne, skuteczniejsze lekarstwo.

— Jakieżto, jakie? — zapytała ze śmiechem naiwnie kokieteryjnym.

— Niech pani wejść pozwoli; razem je przyrządzimy.

— Dobrze, ale ja...

— Co takiego?

— Jestem nieubrana...

Już miałem z całą bezczelnością rzucić kuszące słowo, gdy do pokoju sąsiadki otworzył ktoś drzwi od sieni.

— Jużto wracasz? — zawołała!

— A cóż cię to tak dziwi?

Był to jej mąż, niestety! W samą porę się zjawił — pomyślałem zawiedziony, i jak martwa kłoda ległem na pościel w ubraniu. Gosposia miała kibić piękną, rączki małe, włoski złotawe, oczy niebieskie, wyraz oblicza szatańsko-ponętny. Coraz śmielsze, jaskrawsze widoki rysowały się przed zamkniętemi oczyma. Amelka, z którą rano rozmawiałem, stała teraz gdzieś w cieniu, poza widnokręgiem napół sennej wyobraźni. Szum targowy płynął i płynął przez otwarte okno, a z pośród chaosu wyłaniał się ustawicznie donośny krzyk obwołującego swój towar handlarza: „Csidzieści sieść śpilek za dwa grosze! Csidzieści sieść śpilek za dwa grosze!"—Co za taniość zdumiewająca! I w tej chwili przypomniało mi się, że wielcy panowie dają zwykle w upominku młodym płci pięknej ozdobom, krewnym, sługom, wybrankom — po kilka, kilkanaście tysięcy rubli, ba, i dukatów... „na szpilki." Ja nie mogłem, prawda, złożyć takiego daru u stóp sąsiadeczki, ale — jeśli nie dziś, to jutro—stać mię będzie na wcale pokaźną ilość... szpilek. I począłem mnożyć: pięć razy sześć — trzydzieści, trzy razy pięć— piętnaście... Osiemnaście tysięcy szpilek, osiemnaście tysięcy... Tak marząc błogo, zasnąłem — i nie słyszałem nawet, jak dwaj moi współlokatorowie powrócili do domu.

Ludzie, z którymi wówczas mieszkałem, p. Aleksander Dąbek i Paweł Szczepanowicz, ani kolegami mymi, ani rówieśnika-

opiera się zarazem na ich współzawodnictwie i w ten sposób otrzymuje stanowiącą jej znamię charakterystyczne, samorzutność i potęgę. Nie w nich wszakże i nie w „szlachetności młodego monarchy“ trzeba szukać źródła socyalizmu państwowego Wilhelma II. Po za tą „szlachetnością“ znajduje się półtora miliona świadomych i uorganizowanych robotników, którzy stoją już u wrót Kapitolu. Gdyby tej potęgi nie było, cesarzowi niemieckiemu napewnoby nie przeszła nawet przez myśl idea o „etycznych zadaniach państwa.“ To klasy panujące puszczają się na kompromisy i ustępstwa, w obawie przed zupełną utratą władzy, która w rękach robotników okazałaby się także wszechmocną na ich korzyść, jak jest wszechmocną obecnie w rękach junkrów i burżuazyi — w obronie ich interesów klasowych.

Siła, którą klasa robotnicza francuska w drodze uświadamiania i organizacyi stopniowo osiąga — jak to w następnych listach zobaczymy — objawia nam najlepiej te ustępstwa na polu prawodawstwa socyalnego, lub przynajmniej ich obietnice ze strony klasy panującej we Francyi.

Dotychczas, niestety, wszystko znajduje się jeszcze w dziedzinie projektów. Jeden z nich, noszący szumną nazwę „ubezpieczenia robotników na starość,“ tym, którzy w ciągu 30 lat, od 25 do 50 roku życia, spłacać będą regularnie raty, w rozmiarach 20 do 38 fr., obiecuje pensyę, wynoszącą 240 do 360 fr. rocznie. Subwencya państwowa będzie wynosiła jedną trzecią ogólnej sumy. Jeżeli dodamy, że według danych, przedstawionych przez projekt ministeryalny, z 9 milionów robotników francuskich tylko 3 miliony zechce lub zdoła płacić powyższe raty, a z drugiej strony, że do 55 lat wieku dożyć może tylko ze 20% wskazanej liczby, łatwo zrozumiemy, jak błahą jest reforma, zapomocą której p. Constans chce zdobyć sobie laury Wilhelma II. Kilkakroć sto tysięcy robotników po czterdziestokilkoletniej pracy otrzymywać będzie 75 cent., maximum — franka na utrzymanie dzienne, tj. sumę, niezaspokajającą najnędzniejszej wegetacyi.

Z drugiej strony na porządku dziennym jest projekt ubezpieczenia klasy robotniczej od wypadków. Projekt ten nosi niektóre cechy oryginalności: w końcu każdego roku suma, przypadająca poszkodowanym, będzie obliczana i dzielona pomiędzy wszystkich fabrykantów, według tablicy, oznaczającej stopień niebezpieczeństwa każdej gałęzi przemysłu. Odpowiedni kapitał zapasowy funkcyonować będzie na wypadek niewypłacalności przedsiębiorców. Niestety, wynagrodzenia, które projekt przedstawia, są także nad wyraz błahe, a i tych nie otrzymają robotnicy, którzy pokaleczeni zostaną „przez własną nieostrożność.“ Trudno o bardziej bezmyślną decyzyę tam, gdzie same warunki techniki wymagają rokrocznie prawidłowej ofiary z odpowiedniej ilości palców, rąk, nóg i całych jestestw ludzkich. Czy można sobie przedstawić człowieka, któryby za 50 cent. dziennej zapomogi dał sobie oderwać nogę i nie wysilał całej swej „ostrożności“ dla ominięcia takiego szczęścia?

By zakończyć rzecz o projektach, dodajmy, iż wszystkie partye zgadzają się na konieczność ustanowienia przymusowego wypoczynku raz na tydzień, ze względu na moralność i hygienę. Zdania podzielone są tylko co do dnia, który ma być wybrany. Pomimo wymownej interwencyi p. de Mun, a może właśnie z powodu tej interwencyi, Izba nie chce przystać na niedzielę. Powstrzymuje ją wzgląd nader szanowny: bojaźń, by nowe prawo nie zostało zabarwione jaką przymieszką religijną. Jest to obawa tem bardziej usprawiedliwiona, iż kongregacye religijne, powypędzane z kraju, powoli się napowrót wkradają do swych gniazd jaszczurczych, zrywając pieczęci z zamkniętych klasztorów. Porozkładały już one w wielu miejscach swe kramiki, sprzedają msze i amulety, oplątując ludność po dawnemu jadowitą siecią demoralizacyi i wyzysku. Wszystko to odbywa się pod okiem p. Constansa, który pozwala strzydz głupie owieczki, licząc na poparcie reakcyi dla utrzymania się przy władzy.

Leon Winiarski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Śród słowian od lat paru budzi się i zasypia myśl zwołania wszechsłowiańskiego kongresu. Wybierano już dla niego miejsca, oznaczano daty, ale słowo nie stało się ciałem. Wyrzeczono je znowu z powodu upływającego czterdziestolecia godności biskupiej Strossmayera, a za punkt zbiorowy miał służyć Djakovar. Zamiar ten, który wyszedł głównie z łona słowian austryackich, zyskał sobie szczególną sympatyę u czechów, a właściwie u młodoczechów, którzy chcieli go wyzyskać dla wielkiej manifestacyi plemiennej. Dotąd wszakże jest to dopiero marzenie, przez rzeczywistość mocno targane. Naprzód bowiem nie ulega wątpliwości, że rząd austryacki widziałby w kongresie słowiańskim, zwłaszcza na jego gruncie, ognisko bardzo niebezpiecznego zarzewia, którego rozpalać nie pozwoli, a tłumić pragnie, uważając wzrost pierwiastków słowiańskich w monarchii, bądź co bądź, niemieckiej za proces rozkładowy. Powtóre, cesarz osobiście czuje niechęć do Strossmayera, któremu raz, wbrew swemu zwyczajowi, napomniał dosyć ostro. Pewne zaś żywioły śród samych słowian austryackich nie życzą sobie obrażać zarówno rządu, jak monarchy, a ten wzgląd może dobre chęci przeznaczyć do wybrukowania piekła.

Cesarz niemiecki powrócił z Rosyi — jak twierdzą gazety — wielce zadowolony. Nad tą podróżą łamią sobie jeszcze głowy filozofowie dziennikarscy, usiłując z drobnych a dostrzegalnych oznak wydobyć tajemnicę celu wyprawy i jej skutku. Daremne to wszakże pokuszenia — materyału brak. Obdarowanie np. Capriviego wysokim orderem św. Andrzeja świadczy, że kanclerz niemiecki wywarł na dworze petersburskim dobre wrażenie — ale nic więcej. Toż samo rzec można o innych dowodach wzajemnej grzeczności lub sympatyi. Nie ratują rozciekawionej niewiadomości gazety urzędowe, które w swych objaśnieniach nie wychodzą po za obręb ogólników i zapewnień o przyjacielskich stosunkach, ubezpieczonym pokoju itp.

Bezowocna praca domyślności potrwa jeszcze z kilka tygodni, dopóki po letnich wczasach i upałach nie ożywi się zmartwiałe życie polityczne. Braku wypadków ważnych nie może zastąpić ani powrót ks. Koburskiego do Sofii, ani ciągłe utarczki Milana z rządem serbskim, ani jego stwierdzone i zaprzeczone małżeństwo z jakąś milionerką amerykańską. Są to bowiem jedynie pyłki kurzu politycznego. Należą do nich również znowu zamierzone przez Portę „reformy“ w Armenii. Ten wąż morski wynurzał się już kilkakrotnie, ale zawsze

---

mi nawet nie byli. Zbliżył nas przypadek i wspólna potrzeba taniego lokalu.

Pan Aleksander, człowiek w sile wieku, „wolny strzelec“ świata handlowego, vulgo „subjekt bez miejsca,“ trochę kapitalista i przedsiębiorca, za hasło życia wziął sobie „praktyczność.“ Dążył widocznie do zrobienia majątku. Czy go zrobił, wątpię. Odznaczał się bowiem gorączkową ruchliwością, plany swe często zmieniał, a zależności nie znosił. Fizycznie krzepki i korpulentny, poświęcony swej idei finansowej, w księgi się nie wdawał, a cały dzionek boży przepędzał gdzieś za domem. W niedzielę, gdy miał więcej wolnego czasu — bo późno na ulicę wychodził, obdarzał mię częstokroć złotemi radami, poczerpniętemi z drogocennej skarbnicy własnego doświadczenia. Oto jedna z charakterystycznych: „Gdy w skarpetce — mawiał — przez noszenie utworzy się dziura na pięcie, nie rzucaj jej pan w kąt, ale obróć na drugą stronę, a gdy i tu powstanie okienko, pamiętaj, że są jeszcze dwie boczne ściany, o które piętę bezpiecznie oprzeć możesz.“ Dzięki ci, panie Dąbku! radę praktyczną wnukom swym przekażę...

Szczepanowicz był już starcem sześćdziesięcioletnim. Trzymał się pochyło, ale wyglądał jeszcze zdrowo i krzepko. Różne on podobno w życiu swojem przechodził koleje. W młodości falą zdarzeń wyrzucony zagranicę, doświadczał zrazu wielkiej nędzy, potem ciężko na kawałek chleba zarabiał, aż w końcu dzięki własnej wytrwałości i opiece jakiegoś francuza, wypłynął na wierzch: odbył nauki w Montpellier i został inżenierem. Ożeniwszy się z córką swego dobroczyńcy, mieszkał różnymi czasy to we Francyi, to w Hiszpanii. Przyjechał do kraju niedawno, sam, party nostalgią, czy żądzą zarobku. Dzieci nie miał. Żonę tkliwie kochał. Ilekroć list od niej otrzymał, wielka jego twarz zwiędła, o cerze papierowej, okrywała się rumieńcem, w oczach jaśniała radość. Czy na równi z nią miłował pieniądze, nie wiem; to jednak pewna, że, chociaż zamożny, był bardzo oszczędny w wydatkach, oszczędny aż do skąpstwa.

Gdym rano oczy otworzył, Dąbka już nie było, a Szczepanowicz, ubrany, z laską i kapeluszem w ręku, stał przy mnie, czekając, aż się na dobre obudzę.

— Panie filologu — powiedział — zwracaj uwagę na drzwi, żeby tu kto nie wszedł. Teraz się włóczą nieponie.

— Przecież nie śpię — odparłem. *Buenos dias.*

— *Buenos*, powtórzył, śmiejąc się z mojej hiszpańszczyzny. Głowa mię boli; przez całą noc oka nie zmrużyłem; ale pan za to spałeś wybornie... i gadałeś przez sen, aż się rozlegało. O jakichże to „tysiącach“ śniło ci się, młody panie? Ten wyraz ciągle miałeś na ustach. Cóż to były za skarby, hę?

I nie czekając odpowiedzi, wyszedł. Ja też zerwałem się z łóżka, przyprowadziłem do porządku swą fizyczną i materyalną powierzchowność, wypiłem szklankę herbaty, połknąłem niemal dwie bułki i czemprędzej pobiegłem na pocztę.

Zostałem tedy posiadaczem skarbu, za który można było otrzymać w rynku Starego Miasta... 18,000 szpilek. Ale wczorajsze marzenia gorączkowe pierzchły, jak mi się zdawało, wraz z cieniami nocy. Pojutrze miał być egzamin z historyi literatury powszechnej. Kłopot nielada! — kurs ogromny! Zmieniwszy papierek w jakiejś cukierni, z ładunkiem sucharków lukrowanych powracam czemprędzej pod nr. 12, i choć widmo ładnej kobietki, z powodu cissy, panującej w sąsiedztwie, znów mię trochę niepokoi, zasiadam do pracy.

Wtem słyszę od jej strony skrzypienie klucza w zamku i leciuchne puk-puk-puk.

— Kto tam? — rzeknę z cicha.

— Czy pan ma czas? — zasyczał pieściwym szeptem wąż niewieści.

— Dla pani — zawsze.

— To może... pogawędzimy? — drzwi otwarte.

Cóż było robić? — przeszedłem próg fatalny, Rubikon.. cnoty i ostrożności.

Po upływie dwu godzin wróciłem do swego stolika, zupełnie już z zapału ostudzony i uboższy o całe.. 10800 szpilek. Pani Z. winszowała mi „uśmiechu szczęścia,“ do-

pozostawał i pozostanie bohaterem bajki, którą wszyscy powtarzają, a nikt w nią nie wierzy.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

X-ty MIĘDZYNARODOWY ZJAZD LEKARSKI W BERLINIE.

Na dwa dni przed obradami zjazdu lekarskiego w Berlinie otwartą została wystawa lekarska, bogata i pouczająca. Uwagę znawców zwracały aparaty elektryczne prof. Ewalda ze Strasburga; „wilgotna kamera“ Kagenauera, za pomocą której można pod mikroskopem badać bakterye, wystawione na działanie różnych gazów i odczynników; tablice kolorowane chorób krtani Wyssa; preparaty anatomiczne jamy nosowej i krtani B. Fränkla; znakomite rysunki budowy anatomicznej ucha wewnętrznego, a szczególniej t. zw. organ Cortiego, wystawione przez Politzera z Wiednia; kolekcya nowych instrumentów do operacyj w nosie, w gardzieli i w krtani — firmy Pfana z Berlina. Ciekawym jest także podwójny wziernik oczny, oświetlony elektrycznością, konstrukcyi prof. Szweigera z Berlina; rysunki Unthoffa, przedstawiające zmiany anatomiczne nerwu wzrokowego przy rozmaitych cierpieniach ocznych; zbiór drobnych odłamków żelaznych, wydobytych za pomocą magnesu z oczów — przez Hirszberga; dalej olbrzymią kolekcyę przecięć ciała ludzkiego, dokonanych na zamarzniętych trupach, wystawił berliński instytut anatomiczny. Prywatny zakład dla obłąkanych w Dalldorf okazał bardzo ciekawy zbiór modeli gipsowych, przedstawiających mózgi idyotów, epileptyków i obłąkanych różnego rodzaju. Bawarskie ministeryum lekarskie — tragi, wozy dla chorych itp. przedmioty; podobnąż kolekcyę wystawiło także pruskie ministeryum wojenne. Klinika prof. Neissera (z Wrocławia) bardzo ciekawy zbiór mikrofotografij, przedstawiających hematocyty, klinika Alberta z Wiednia kilka kolorowych rysunków choroby, zwanej *Elephantiasis arabum*, przy której członki ciała powiększają się olbrzymio. Nie wspominamy o licznych innych ciekawych okazach tej wystawy, nie wiadomo bowiem, którym dać pierwszeństwo, a wyliczenie najwybitniejszych tylko, już zbyt wiele zajęłoby nam miejsca.

Dnia 4 sierpnia odbyło się w cyrku Renza otwarcie zjazdu, a zarazem pierwsze ogólne posiedzenie. Cyrk, przemieniony na świątynię nauki, ozdobiony był z zewnątrz i wewnątrz zielenią, kwiatami, chorągwiami, statuami i obrazami; te ostatnie przedstawiały termy Karakaali. Na pierwszem posiedzeniu było obecnych ze 6,000 osób, pomiędzy którémi mnóstwo znakomitości, których nazwiska znane są całemu światu. Wspomnimy tylko o najwybitniejszych, do których (pomijając berlińczyków) należą: Billroth, Albert, Nothnagel, Meynert, Störk, Winternitz, Kraft-Ebing i inni z Austryi; James Paget, Lister, Mac-Even, Horsley, Landes Brunten z Anglii; Bouchard, Dujardin-Beaumetz, Lefort, Richet, Proust, Ollier, Cornil, Chauveau i inni z Francyi; Mosso, Celli, Bacelli, Cantani, Maragliano i Golgi z Włoch; Thiry i van Beneden z Belgii; Sklifassowski, Brodowski, Erismann, Aleks. Schmidt, Hoyer, Barfurt, Unverricht, Danilewski z Rosyi, Wood, Knapp, Billings, Bernays, Senn, Keen, Sayre, O'Dwyre, Jacobi, Osler Stevart i Loomis ze Stanów Zjednoczonych Ameryki półn.

Prócz gwiazd pierwszego i drugiego rzędu znajdowało się mnóstwo gwiazdeczek lekarskich z rozmaitych krajów, nawet z Indyj, Japonii, Chin, Paraguayu. Pierwszą mowę wygłosił zasłużony Virchow. Pozostaje on zawsze wierny swym zasadom liberalnym; po nim zabrał głos dr. Lassar, sekretarz główny zjazdu. Według jego sprawozdania, 25 rządów, 30 uniwersytetów i 50 uczonych towarzystw było reprezentowanych na kongresie; Francya wysłała 34 najbardziej znanych i sławnych z wiedzy lekarzy, ogółem zaś było ze 130 francuzów, których owacyjnie przyjmowano na wszystkich posiedzeniach i ucztach. Po urzędowych przemowach ministrów v. Böttichera, v. Gosslera i prezydenta v. Forkenbecka, dr. Hamilton z Waszyngtonu imieniem armii amerykańskiej powitał Niemcy. Z podobnąż mową wystąpili także Paget (z Anglii), Bouchard (z Francyi), Bacelli (z Włoch, przemawiał po łacinie), Czatary (z Węgier), Aretäus (z Grecyi) i Paszutin (z Rosyi).

Na honorowego prezesa zjazdu obrano doktora księcia Karola Teodora bawarskiego, znanego okulistę. Józef Lister, wynalazca metody antyseptycznego opatrywania ran, zwanej jego imieniem, wygłosił pierwszy odczyt naukowy, w którym przedstawił rozwój i obecny stan kwestyi antiseptyki, przyznając się do licznych poprawek a nawet do omyłek, popełnionych dawniej,' gdy metodę tę stworzył. Skromność i prawdomówność charakteryzują prawdziwych uczonych.

W odzielnych sekcyach odbyło się mnóstwo ciekawych odczytów. Około 1000 lekarzy zameldowało się o prawo głosu t. j. naturalnie bardzo wielu dla braku czasu wcale przemawiać nie mogło. Z naszych lekarzy przedstawili swe prace T. Heryng, S. Goldflam i inni. W sekcyi medycyny ogólnej bardzo ciekawe toczono rozprawy nad gruźlicą, rozprzestrzenianie się jej przez zwierzęta i nad ustanowieniem ogólnych międzynarodowych przepisów i środków, zwalczających tę okropną chorobę. O niej też najwięcej mówiono na sekcyi chorób wewnętrznych, zastanawiając się nad środkami lekarskiemi, właściwemi z przebiegu tego cierpienia.

Prof. Key z Stokholmu mówił: „o rozwoju płciowym dzieci i stosunku tego okresu do różnych objawów chorobliwych, spotykanych u młodzieży szkolnej“. Głównym celem prelegenta było wykazanie szkodliwego działania szkół na zdrowie i rozwój fizyczny, a nawet moralny dzieci obojga płci. Odczyt ten należał do najciekawszych niemal i żywo zajął słuchaczów, a zawarł się w następującym wniosku: przeszło trzecia część chłopców, uczęszczających do szkół średnich, jest chronicznie chorą. Najczęstszemi chorobami są tu: niedokrwistość, błednica i krótkowzroczność, wzrastająca z każdą klassą. Z dziewcząt szkolnych przeszło 60% choruje w Szwecyi; nielepiej dzieje się w Danii. Przyczyną tych cierpień złe warunki sanitarne szkół i przeciążenie pracą umysłową.

W oddzielnych sekcyach zwrócił na siebie uwagę komunikat Edisona, który na zasadzie jednego doświadczenia przypuszcza, że za pomocą elektroliny uda się rozpuszczać złogi wapienne przy podagrze, a może też i kamienie pęcherzowe.

W sekcyi hygieny bardzo obszernie rozprawiano o kwestyi prostytucyi, a także o domach dla podrzutków (Erisman z Moskwy).

Pomijając w krótkiem streszczeniu tak olbrzymiego kongresu mnóstwo rozmaitych

---

wiedziała się bowiem o jakiejś przesyłce pieniężnej od stróża. Daremne były z mej strony zapewnienia, że otrzymana kwota nie jest tak wielką (głupia próżność nie pozwalała mi przyznać się do bardzo małej). Proszono mię w końcu o.. pożyczenie trzech rubli na nową parasolkę: „mąż taki skąpy—nudziarz — niemiły — już się jej sprzykrzył na dobre“ — „*po pierwszym* z pewnością odda..“ O stawianiu oporu nie mogło być mowy; uległem bez wahania.

Ale niebieskie otchłanie oczu gosposi przestały mię nęcić. Pod jej drzwiami żadnych już odtąd nie śpiewałem serenad—ani idealistycznych, ani słono-pieprznych, a oszczędność moja wprawiła w zdumienie nawet Szczepanowicza.

— Co ci się stało, filologu? — mówił. Dawniej pijałeś słodką, jak syrop, herbatę, a dziś na jednym kawałeczku poprzestajesz?

— Naśladuję pana; może z czasem zrobię majątek? — odparłem obojętnie, zmuszając się do połykania gorzkiego napoju.

— Daj Boże! — Będzie czas jeszcze o tem pomyśleć. Ale teraz, mój młody panie, trzeba się lepiej odżywiać; bo zżółkłeś na szafran, a chudy jesteś, jak szczapa.

— Więcej jadać nie mogę.

— Tak? — to źle — musisz być chory?

— Zdrów jestem.

— Panie filologu, powiedział, zbliżając się, mam do was prośbę. Nie śmiejcie się— to nie żarty: czybyście mię nie mogli nauczyć początków greczyzny?

— A na co się to panu przyda? — rzekłem zdziwiony, hamując pokusę ironii. Po chwili zaś dodałem w poważnym a chłodnym tonie:

— Pan chyba drwi ze mnie..?

— O, mój drogi panie, bynajmniej.. Tylko widzisz (w mowie Szczepanowicza zwykłe zwroty do współrozmówców — *pan, wy, ty* — kojarzyły się często w sposób najfantastyczniejszy) — bo widzisz, mój młodzieńcze, gdy mówię „c'est du grec pour moi!“ — to mię wstyd i za siebie i za francuzów, z którymi tyle lat żyłem. Można o wielu rzeczach nie wiedzieć; ale chełpić się prawie nieznajomością mowy tak wielkiego niegdyś narodu, narodu, który wydał Fidyasza, Sokratesa, Platona, Demostenesa.., to hańba, to hańba!.. Powziąłem więc postanowienie onegdajszej nocy, gdy marzyłeś o owych „tysiącach,“ nauczyć się jeszcze przed śmiercią trochę po grecku, korzystając z tego, że mieszkasz ze mną..

Uścisnąłem weterana i obiecałem dawać mu lekcye rudymentów staroheleńskich przez pół godziny dziennie, dopóki z Warszawy na dalsze studya inżenierskie nie wyjedzie.

— Ale, mój drogi, ja nie chcę darmo, a płacić dużo nie mogę. Za każdą lekcyę obiadek, na jaki mię stać — dobrze?

— Zgoda! — krzyknąłem. Od jutra zaczynamy: alfa, beta, gamma, delta et cetera et cetera. I potok wspólnego śmiechu wtórował serdecznemu uściśnieniu dłoni.

Odszedł. A ja weselszy byłem, niż wczoraj, po wizycie u pani Z., choć za żadne pieniądze nie śpiewałbym już mazurka o pasterzu i pasterce. Nastrój mego umysłu podniósł się o kilka stopni wyżej. Pomyślny układ ze Szczepanowiczem silne po sobie zostawił wrażenie. Czy ten człowiek, pomyślałem, rzeczywiście się wstydzi zupełnej nieznajomości języka, którym niegdyś wielki naród mówił.... A może tylko chce mi on pomódz w twardej biedzie?

Na pytanie to i dzisiaj nie umiałbym odpowiedzieć. Ale pamiętam, że starzec, który od lat wielu spoczywa już w grobie, uczył się, jak pilny żak trzynastoletni, gramatyki greckiej, a po upływie dwu niespełna miesięcy przyswoił sobie doskonale cały pierwszoroczny kurs gimnazyalny. Wzamian za to karmił mię codziennie czterdziestogroszową ucztą w restauracyi „pod bukietem,“ niewyczerpanemi odami na cześć żony, mieszkającej w Algierze i barwną opowieścią o kwiatach i cierniach długoletniej po obczyźnie włóczęgi.

A. G. Bem.

odczytów i dysput wspomnę na zakończenie, że międzynarodowi goście wspaniale zostali przyjęci w Berlinie, a imponującą ucztę wyprawił zarząd miasta, przyjmując 6000 osób w salonach ratusza.

Ministeryum oświaty obdarzyło każdego z uczestników kilku tomami wydanych na ten cel książek, opisujących instytucye szpitalne berlińskie, wody mineralne niemieckie, urządzenia sanitarno-hygieniczne państwa niemieckiego. Ostatnie posiedzenie ogólne odbyło się 8 sierpnia, poczem goście rozjechali się na wszelkie strony świata, unosząc wspomnienia potęgi stanu lekarskiego w świecie i olbrzymiego rozkwitu wiedzy medycznej.

X.

BADANIA NAUKOWE.

MONOPOL PRZEMYSŁOWY W AMERYCE.

Kiedyś, na początku roku bieżącego, wypadło nam poruszyć w *Prawdzie* kwestyę tegoczesnego prądu monopolistycznego. Wykazaliśmy, że tego rodzaju dążności są koniecznem a nieodzownem następstwem wolnej konkurencyi, odkąd wytwórczość oparta została na szczególnych metodach technicznych. Kto wejrzał głębiej w prawa rządzące walką tegoczesną pomiędzy oddzielnemi przedsiębiorstwami, tego nie zadziwi ta okoliczność, iż rozwój „tezy,“ jakby się wyraził Hegel, doprowadził do „antytezy.“ Między innemi zauważyliśmy wtedy, że owe tendencye wystąpiły najjaskrawiej w Stanach Zjednoczonych. Dodać należy, że monopole przyjmują tutaj postać najrozmaitszą i obejmują nader różnorodne gałęzie działalności ekonomiczno-gospodarczej. Między innemi warto zaznaczyć szczególną formę, będącą jakby pierwszym krokiem w kierunku monopolizacyi środków przewozowych, tak zwane „poole.“ Przypuśćmy, że np. pomiędzy dwoma miastami krążą statki kilku towarzystw kolejowych. Wzajemna konkurencya doprowadza rywalów wreszcie do takiego stanu, iż poczynają myśleć o porozumieniu. Ustanawiają oni wzajemnie dochody. Dajmy na to, że dla jednego towarzystwa wynoszą one 15%, dla drugiego 30% całego zysku. Wybierają wspólny zarząd finansowy; lecz każde przedsiębiorstwo prowadzi swoje sprawy na własną rękę — zjednywa sobie pasażerów i wogóle usiluje zwiększyć ruch u siebie, chociażby z uszczerbkiem innych firm w „poolu“ stowarzyszonych. Dochody jednak płyną do wspólnej kasy i ulegają podziałowi, według oznaczonego przy umowie stosunku, aż póki nie upłynie termin. Wtedy, jeśli „pool“ ma być utrzymany i nadal, stawia się już inną skalę podziałową, zależną od wzajemnego położenia walczących współzawodników. Nie ulega wątpliwości, że takie urządzenie jest pierwszym krokiem w kierunku zupełnego zlania współzawodniczących linij przewozowych. Widoczną jest jednak rzeczą, że mówiąc o tegoczesnym monopolu, niepodobna go uważać za przejaw zasadniczy, ani też przeceniać wartości takich okazów monopolistycznych, jak gazowe przedsiębiorstwo miejskie. Przeciwnie, są to raczej podrzędne postacie nowożytnego prądu monopolistycznego. Po odsunięciu na bok tych form małoznacznych w porównaniu z innemi, stajemy na gruncie Stanów Zjednoczonych oko w oko ze szczególnem zjawiskiem: z monopolizacyą oddzielnych gałęzi przemysłu, opartą już na takiej podstawie, iż wszelka konkurencya z danem przedsiębiorstwem, dzięki zcśrodkowaniu w niem kapitału, staje się wprost niemożliwą. Zjawisko to uwidoczniło się najsilniej w „trustach“ — szczególnej formie stowarzyszenia pojedynczych zakładów przemysłowych. Stowarzyszenie to niekiedy jest wprost koniecznością techniczną, jak np. w truście nafciarskim, gdzie przeprowadziło wspólną sieć naftociągów; o rozmiarach zaś jego świadczy ten fakt, iż na rynek naftowy dostarcza ono aż $^3/_4$ całego zasobu oczyszczonej nafty amerykańskiej. Nie należy mniemać, żeby ta monopolizacya nowożytna sprowadziła jedynie straty dla spożywców. Dzieje trustu nafciarskiego wskazują, że jego powstanie i rozwój technicznу wywołały powolną i równomierną lecz nieustającą zniżkę w cenie produktu.

Jak zapatruje się publiczność amerykańska na to zjawisko? Mamy przed sobą obecnie dwie prace w tym przedmiocie: jedną, większych rozmiarów, Bakera *Monopole i lud*, drugą, nieznaczną — Ilesa *Współzawodnictwo a trusty* *). Poglądy obu autorów są niemal jednolite. Zatrzymajmy się nieco chociażby nad rozprawką Ilesa. Wykazuje on, że charakter spisku, wymierzonego przeciw spożywcom, nie jest konieczną cechą nowoczesnego prądu monopolistycznego. Wprawdzie trust cukrowarów przedstawia się, jako sprzysiężenie tego rodzaju; wywołał on bowiem podwyżkę ceny produktu; podobnież trust wytwórców oleju lnianego wpłynął na podniesienie ceny z 38 do 56 centów za gallon; lecz jednocześnie można przytoczyć wprost przeciwne przykłady. Trust np. nafciarski wytworzył organizacyę, ogarniającą cały Związek północno-amerykański; poznał więc dobrze potrzeby tego olbrzymiego rynku (rzecz niemożliwa dla setki wzajemnie współzawodniczących przedsiębiorstw); uregulował odpowiednio swą produkcyę; przeprowadził ulepszenia, niewykonalne przy kapitałach pojedynczych olbrzymiego nawet zakładu; uprościł stosunek spożywców do przedsiębiorców; usunął wreszcie mnóstwo pasorzytów pośrednictwa i dzięki temu obniżył cenę towaru. „Dobrze poprowadzony trust jest ostatniem ogniwem tego procesu historycznego, który rozpoczyna się wyrugowaniem pracy ręcznej przez maszynę; postępuje on dalej, stosując siłę pary do ruchu maszyn; czyni wreszcie krok decydujący, gdy maszynerya, zarządzana przez zbiorowy kapitał, wypowiada walkę dotyczasowym firmom prywatnym. Postęp techniczny idzie wciąż w kierunku, wykreślonym przez oszczędności, które daje prowadzenie interesu na wielką skalę, w porównaniu z drobnym przemysłem; w dalszy ciągu — przez wzrastającą specyalizacyę, przystosowanie podaży do ustalonego zapotrzebowania, przez nieustające poznawanie potrzeb rynku i usunięcie wszelkiej w tym względzie niepewności. Wprawdzie nowe te metody pociągają za sobą ruinę i upadek wielu tysięcy współzawodników; ale jest to nieuniknioną koniecznością. Ludzkość bowiem, od chwili gdy znajdzie lepsze lub tańsze sposoby produkowania, nigdy nie wraca do kosztowniejszych i uciążliwszych i nie baczy na wynikające stąd cierpienia.“ Przytoczyliśmy ustęp niemal dosłownie. Ze słów tych łatwo pojąć, że autor jest przeciwny wszelkim zawadom prawnym, stawianym na drodze rozwojowi trustów. Zauważył on z najzupełniejszą słusznością, że kiedy przedsiębiorcy ocenili już na gruncie praktycznym zyski, płynące z solidarzowania się w jedno wyższe towarzystwo, to na pewno nie porzucą lekkomyślnie danej metody. Co więcej, w wielu gałęziach życia przemysłowego sprawa stała się tak obszerną, a jednocześnie tak złożoną i nieuporządkowaną, iż koniecznie wymaga owego uproszczenia, jakie organizacya trustowa za sobą prowadzi. Gdy możliwość trustu będzie usunięta na drodze prawnej, to wyrodzi się inna forma zbiorowa; jeśli stowarzyszenie przedsiębiorców nie dojdzie do skutku, pojedynczy jakiś zakład zagarnie z czasem niezajęte stanowisko z większą dla ogółu stratą.

Całe pytanie polega nie na powstrzymywaniu nieodzownego postępu, lecz na tem, jakimi środkami można publiczności zapewnić wszystkie korzyści, płynące z organizacyi trustowej, a jednocześnie uniknąć ujemnych następstw spisku przedwyborczego. Iles zaznacza, że rozwój monopolistyczny dostarcza broni przeciwko własnym zamachom, umożliwiając, dzięki wprowadzonym uproszczeniom, kontrolę państwową, taką, jaką tu i owdzie rząd rozciąga już nad kolejami i kopalniami. Sądzi on nawet, — że wielka lecz kontrolowana produkcya i wymiana trustowa mogą działać z większą bez porównania korzyścią dla ogółu, aniżeli niezorganizowana konkurencya chwili bieżącej. Przeciwko zarzutom, że to rozszerzyło by nadmierne czynności państwa, odpowiada on: kiedy kraj jest napastowany przez wrogów, nikt wtedy wojsku regularnemu prawa bytu nie zaprzeczy. Większość społeczna potrzebuje dziś opieki przeciw ciemiężycielom ekonomicznym; jest to w całem słowa znaczeniu — wojna producentów przeciwko spożywcom, wymagająca od armii krajowej nietylko męstwa, lecz przedewszystkiem rozsądku. Co więcej, autor sam nawet wskazuje, jakie korzyści możnaby odnieść, gdyby zamiast mnóstwa drobnych kramików ukazały się w miastach (co zresztą praktykuje się już na wielką skalę) olbrzymie magazyny, sprzedające pod jednym dachem i jedną firmą najrozmaitsze przedmioty. Możnaby je było oprzeć na zapewnionej a obszernej klienteli, na udzielaniu kundmanom prawdziwych wskazówek co do gatunku kupowanych rzeczy, a jednocześnie obniżyć cenę, dzięki uproszczeniu administracyjnemu. Baker w swojej pracy zajął podobne stanowisko. Sądzi on, że zapanowanie monopolów nie jest bynajmniej wyrazem wstecznictwa, jakby mniemano w początkach obecnego stulecia, ale raczej — nieustającego postępu w organizacyi społecznej. Rozrost ich to wynik dzisiejszych warunków produkcyi i jedyne przeciwko nim lekarstwo to nie zniesienie ich i powstrzymanie, lecz rozciągnięcie nad nimi należytej kontroli państwowej. Zresztą autor *Monopolów i ludu* w swych środkach zaradczych idzie o wiele dalej, niż Iles. Powiada on mianowicie że dalszy rozwój monopolów musi doprowadzić z konieczności do upaństwowienia odpowiednich gałęzi produkcyi, przewozu i nawet wymiany; utrzymuje, że już obecna chwila dojrzała do tego w zakresie kolei żelaznych, górnictwa, środków przewozowych i wogóle komunikacyi miejskiej (tramwaje, telefony), oświetlenia gazowego, doków okrętowych i t. d. Państwo, a względnie miasto, winno je objąć w swoje posiadanie i wydzierżawiać od siebie na czas niejaki przedsiębiorcom, na warunkach, uwzględniających interes spożywców.

Prace, o których mówimy, świadczą, że w opinii publicznej na gruncie amerykańskim silny zwrot następuje. W samej rzeczy, kwestya nowoczesnego monopolu, z właściwemi mu nadużyciami, ujawnia się coraz dobitniej. Z jednej strony centralizacya, podążająca w kierunku uproszczenia maszyny wymienno-produkującej, jasno całą potęgę swą stwierdza, dowodząc, że tylko ona, na olbrzymią rozszerzona skalę i odpowiednio zorganizowana, może być podstawą, na której wzniesie się zarazem wyższy ustrój społeczny; z drugiej — tę potęgową a cywilizacyjną siłę przywłaszczają sobie nielicznі działacze i w jedynym celu — skierowania jej na swoją wyłączną korzyść a uszczerbek i wyzysk społeczny. Co więcej, opinia publiczna zaczyna się przekonywać, że sam rozwój w kierunku centralizacyi jest nieodzownością historyczną, którą powstrzymać można jedynie, zawracając się ku przebytym już fazom dziejowym. Podane przez Bakera środki są bez porównania

*) Baker, *Monopolies and people*; Iles, *Competition and trusts.*

głębiej obmyślane, niż u Ilesa; lecz ukazują się poza nimi jeszcze szersze i bardziej demokratyczne pragnienia: upaństwowieniu różnych gałęzi przemysłu u Bakera towarzyszy „wydzierżawienie“ — jeśli chcemy pozostać przy tym terminie. Czyż najmici, pracujący przy kolejach, złączeni w jedno olbrzymie stowarzyszenie spółdzielcze, nie mogą wystąpić w roli owych „dzierżawców“? Stowarzyszenie takie, któreby podjęło warunki, postawione przez państwo, a miało na widoku usunięcie możliwego wyzysku, zniosłoby jednocześnie uciemiężenie pracy przez kapitał. Możnaby podobnie zorganizować inne produkcye, jużto ogólno-państwowe, jużto lokalno-miejskie, a między innemi ogólno-państwowy folwark rolny z gruntów narodowych. Przeprowadzić wywłaszczenie celowe prywatnych, zarówno wielkich, jak małych gospodarstw, ale tak, żeby wywłaszczeni znajdowali miejsce we wspomnianych stowarzyszeniach; pozbawić samodzielności pojedyńcze grupy i utworzyć z nich jedno ogólno-krajowe stowarzyszenie produkujące — oto, jaki byłby program partyj ludowych w Ameryce, gdyby można było wierzyć, iż państwo podejmie się tej roli. Jest to jednak nadzieja dość płonna. Wszak z nowoczesnym monopolem ekonomicznym podąża naprzód zmonopolizowanie władzy państwowej przez grupy kapitalistyczne, które doprowadzone do konieczności upaństwowienia monopolów pomyślą naturalnie i wtedy.. o sobie, lecz nie o najmitach.

K. R. Żywicki.

KARTKI NAUKOWO-ARTYSTYCZNE.

Stany alkoholiczne. Mamy przed sobą badania amerykanina, dr. Crothersa, zawierające nader ciekawy a pouczający materyał z zakresu zjawisk alkoholicznych — jak on je nazywa. Przedstawia on naprzód przypadki bardziej zawikłane, gdzie widzimy upojenie pijackie bez używania trunków. Farmer 54-letni, człowiek silnego charakteru, zamożny, nigdy nie brał do ust żadnego upajającego napoju. Razu pewnego wypadł z wagonu i doznał lekkiego wstrząśnienia. Twarz stała się czerwona, głos drżał i ochrypł — całe zachowanie przypominało pijaka. Sądzono też, że upił się. W kilka miesięcy później, na pogrzebie dziecka, stan ten powrócił ku wielkiemu zmartwieniu przyjaciół i rodziny; później zdarzyło się to jeszcze raz w podobnych okolicznościach. Bliższe poszukiwania dowiodły, że farmer ten istotnie nie przyjmował żadnego trunku. Ojciec był opojem; ten zaś syn powoli zidyociał.

Kupiec, człowiek zdrowy i wstrzemięźliwy, w kantorze swoim, przy pracy, otrzymał wiadomość o śmierci córki. Rzucił się na sofę w stanie nieprzytomnym z wszelkiemi oznakami pijackiemi; wśród rodziców dowiedziono alkoholizmu.

W obu razach upojenie i nieprzytomność ukazują się bez pośrednictwa trunku. Dr. Crothers między innemi wzmiankuje, że podobne przypadki zdarzały się często podczas ostatniej (jakiej?) wojny, dając powód do wielu podejrzeń i domysłów. Ludzie, nieużywający trunków, przed bitwą wykazywali krańcowy stan alkoholizmu z podnieceniem lub apatyą. Oficer jeden na czele oddziału zaczął śpiewać i zachowywał się, jak gdyby był mocno pijany, aż musiano go odesłać do szpitala, a tymczasem nie miał w ustach ani kropli trunku. Przypadkom tym dano szczególną nazwę: upojenia bojowego. Podobne zdarzenia są znane wśród służby kolejowej, kiedy stało się jakieś nieszczęście; z tego powodu mniemanych pijaków oddawano pod sąd, lecz okazywało się, że nigdy nie pili, przynajmniej bezpośrednio przed wypadkiem. Jakie są powody tych zjawisk? Dr. Crothers sądzi, że jest to alkoholizm dziedziczny i powołuje się na znane objawy takiego psychicznego spadku. W zakładzie głuchoniemych w Hartford badał on dwoje dzieci, wykazujących skutkiem najmniejszego rozdrażnienia stan pijacki i to od samego dzieciństwa; rodzice byli opojami. W innym razie znał idyotę, który wpadał w nieprzytomność pijacką, kiedy po raz pierwszy spostrzegł kogoś nieznajomego. W jednym przypadku histeryczka, która podchmielona obawiała się śmiertelnie psów, urodziła kretyna, wpadającego w obłąkanie pijackie na widok wszelkiego psa. Powyższe fakty świadczyłyby, że rozstrój nerwowy, spowodowany u rodziców nadmiernem opilstwem, u dzieci prowadzi do szczególnych objawów neuropatycznych, przypominających stan upojenia (dr. Crothers sądzi nawet, że lekkie podchmielenie u jednego z rodziców w chwili zapładniania sprowadza ten sam skutek).

Za tem przemawia obecność podobnych stanów u ludzi, którzy nadużywając kiedyś trunków, później zachowywali skrupulatną wstrzemięźliwość. Rzecz ciekawa, że wielu czynnych rzeczników amerykańskich towarzystw wstrzemięźliwości pokutowało w ten sposób za grzechy dawne i to podczas publicznych swych wystąpień przeciwko alkoholizmowi! Wybitny agitator w tym kierunku, dawniej opój, porzucił nałóg przeszło od 10 lat. Podczas odczytu dostał depeszę od żony, donoszącą o niebezpiecznej chorobie dziecka. Wypił szklankę wody i nagle, ku wielkiemu zdziwieniu publiczności, zaczął mówić i działać, jak gdyby nieprzytomny; zgorszeni słuchacze wyrzucili go najniewinniej za drzwi. Inny, podobnie stały agent i mówca towarzystwa wstrzemięźliwości, który od lat 5 przestał pić, wpadał w taki stan zaraz po ukończeniu odczytu; czekano już wtedy, czemprędzej brano go do oddzielnego pokoju i trzymano, póki nie otrzeźwiał. Godnem jest uwagi, że inny przestał pić jedynie rozpoczynając odczyty; jeśli brakło sposobności, doznawał nieprzezwyciężonego popędu pijackiego; po odczycie był zawsze duchowo pijany. Inne zdarzenia są jeszcze charakterystyczniejsze. Prawnik, wstrzemięźliwy aż do nieznoszenia zapachu alkoholicznego, syn opoja, ilekroć znalazł się w towarzystwie pijackiem, dochodził do upojenia, tak, iż nawet nie mógł iść o własnej sile do domu; na drugi dzień czuł wszystkie objawy, właściwe pijakom; zresztą odznaczał się nadmierną wrażliwością naśladowniczą. W dalszym ciągu autor przytacza aktorów, którzy grając rolę pijaków, nie mogli jej kończyć z powodu nieprzytomności, mimo że nie wypili najmniejszego kieliszka wódki. Co więcej, zna on publicystów wstrzemięźliwości, którzy sami nie piją, lecz pisząc o pijaństwie i ilustrując je, dochodzą do upojenia. Dr. Crothers wykazuje zawsze w tych wypadkach alkoholizm u przodków.

Fakty powyższe, rzucające bezwarunkowo ciekawe światło nietylko na skutki alkoholizmu, ale i na mechanizm „duszy“ ludzkiej, stanowczo dowodzą: po pierwsze: że objawy zatrucia alkoholicznego ukazywać się mogą niezależnie od bezpośredniego użycia trunków; powtóre, że nadmierne nadużywanie pozostawia w organizmie pijaka stałe ślady i co więcej, zatruwa w szczególny sposób organizm potomków. Dr. Crothers wykazuje, że idealne upojenie można odkryć nawet u wnuków opoja, lubo już ojcowie zachowywali wstrzemięźliwość.

LITERATURA I SZTUKA.

REALIZM PRZED SĄDEM.

Proces Conradiego, Wallotha i Albertiego przed sądem lipskim. — Prokurator Nagel. — Nieco o kwalifikowanych i niekwalifikowanych urzędnikach państwowych. — Walki w łonie realistycznej szkoły niemieckiej. — Rozbicie grupy „Freie Bühne“ a zawiązek nowej.

Prasa niemiecka, milcząca zawzięcie o postępach młodej szkoły realistycznej, w ostatnich tygodniach zajęła się jej sprawą; co więcej, uczyniło to była zmuszona w tonie dla niej przychylnym — pomimo zastrzeżeń, o których nie zapomniała. Zaszedł bowiem fakt, którego najlepsi nawet znawcy stosunków niemieckich spodziewać się nie mogli: oto cenzura niemiecka stanęła w rzędzie przeciwników skrajnego realizmu niemieckiego. Z wrogiem tym prześladowani walczyć nie mogli, a literaccy ich antagoniści wspólwalczyć nie chcieli. Jeszcze w lutym r. b. prokuratorya lipska wniosła skargę przeciw autorom: Conradiemu, Wallothowi i Albertiemu, o rozpowszechnianie pism nieprzyzwoitych, oraz przeciw nakładcy ich Wilhelmowi Friedrichowi w Lipsku. Oto dzieła beletrystyczne, w których prokuratorya odkryła ślady wykroczeń przeciw państwowej ustawie karnej: *Adam Mensch*, powieść Hermana Conradiego; *Der Dämon des Neides*, Wilhelma Wallotha; *Die Alten wird die Jüngen*, Konrada Albertiego.

Rozprawa odbyła się w ostatnich dniach lipca w Lipsku. Młodego Conradiego śmierć uwolniła od stawania przed obliczem sędziów, a z publikacyj najświeższych wypływa, że wzruszenia, połączone ze sprawą procesu literackiego, przyczyniły się do procesu destrukcyjnego, któremu uległ dzielny ten zwolennik szkoły realistycznej. Prokurator wnosił skazanie Wallotha i nakładcy Friedricha na karę pieniężną; Albertiego zaś — na wieżę. Trybunał uwolnił Friedricha; a Wallotha i Albertiego obłożył grzywnami, pierwszego — w kwocie 150 m., drugiego — w ilości 300 marek. Alberti wreszcie zmuszony był jeszcze dodatkowo zapłacić 40 m. za to, iż w ciągu rozprawy zarzucił prokuratorowi brak wykształcenia. Nadto zarządził trybunał zniszczenie całego nakładu dzieł potępionych, wraz z kliszami.

Wyrok ten całą prasę niemiecką wprawił w zdumienie. I nic dziwnego. Pierwszy raz w nowszem piśmiennictwie Germanii sąd państwowy z poważnemi utworami literackiemi obszedł się tak, jak gdyby one były płodami pornografii. Nakładca Wilhelm Friedrich podjął się ogłoszenia materyałów niezwykłego procesu literackiego. Dopiero co wydana broszura *) zapoznaje nas dokładnie z całym przebiegiem sprawy; znajdujemy tu oskarżenie, inkwizycyę podsądnych i świadków, przemowę prokuratora i adwokatów, obronę Albertiego i wyrok wraz z motywami. Dziś sympatya ogółu jest po stronie osądzonych, a najwybitniejsze powagi literackie wskazują na rażące braki sądownictwa, które w tym procesie na jaw wystąpiły, obniżając szacunek powszechny dla jednej z najokazalszych w państwie instytucyi. Prokurator Nagel, wskutek braku wiadomości literackich, ośmieszył się w tym procesie. Wprawdzie Alberti skazany został na karę 40 marek za to, iż zarzucił dostojnikowi nieznajomość Owidyusza, ale w toku rozprawy odegrała się druga scena podobna, w której honoru prokuratora sąd ocalić nie mógł. Oto oskarżony Walloth, powołując się na dramat Hebbla *Judita*, zagadnął prokuratora: — „Wszak znasz pan Hebbla?“ — „Hebla?“ — odparł — „nie — czy pisma jego wyszły w Lipsku?“ — Być może, iż Nagel jest doskonałym urzędnikiem, dzielnym jurystą, być może nawet, iż posiada pewne wykształcenie ogólne, chociaż nie zna Hebbla, jednego z najcelniejszych dramaturgów niemieckich; lecz to pewna, że nie posiada on wykształcenia literackiego. Autorowie niemieccy, po dokonanym procesie nad realistami, domagają się: aby urzędnicy, którym na przyszłość oddawane będą procesy literackie, posiadali wykształcenie fachowe. Cóż by powiedziano (piszą), gdyby sędziom, rozstrzygającym sprawę handlową, obce były stosunki kupieckie? Urzędnicy państwowi, którym powierzono osądzenie kwestyi literackich, powinni być nie dyletantami na polu piśmiennictwa, lecz gruntownymi jego znawcami.

Z jednej tylko strony ofiarom procesu lipskiego czyniono zarzuty: najbliżsi towa-

*) „Der Realismus vor Gericht“ Lipsk, W. Friedrich.

rzysze młodych autorów, koledzy ich po piórze i współwyznawcy kierunku literackiego, oburzeni byli, iż Alberti i Walloth ze sprawy swej uczynili sprawę realizmu wogóle i namiętnie a ostro zaznaczali frakcyjne swe programy literackie. Rozstrój i walka w łonie młodej szkoły realistycznej doszły dziś istotnie do stopnia niebywałego. Wiadomo czytelnikom *Prawdy*, że realiści skupili się w grupy następujące. Pod dowództwem Conrada, Bleibtreua i Albertiego pracuje grupa, skupiająca się około miesięcznika *Die Gesellschaft* i świeżo założonej *Deutsche Bühne*; ale wkrótce po uformowaniu się, grupa ta straciła jednego z najwybitniejszych członków, Maksa Kretzera. Dość cicho zachowuje się druga gromadka, pozostająca pod wodzą Juliusza i Henryka Harta, a uznająca za organ swój *Kritisches Jahrbuch*. Z grupą Bleibtreua współzawodniczy pod względem krzykliwości „Freie Bühne.“ W ostatnim roku „Freie Bühne“ wystąpiło na plan pierwszy. Czasopismo, wychodzące pod tym tytułem, miało wielu dzielnych współpracowników, a redaktor jego słynął, jako krytyk w Berlinie. Stowarzyszenie teatralne tegoż imienia dało szereg przedstawień i bądź co bądź dobrze zasłużyło się sprawie realizmu w Niemczech. Najwybitniejszym w grupie tej talentem jest Gerhard Hauptmann. Grono to jednak uległo już rozkładowi: ośmiu najdzielniejszych współpracowników „Freie Bühne“ opuściło obóz, w którym Brahm zbyt despotycznie rządził.

Zwolna wyłania się nowa grupa, która usiłuje zwabić rozbitków z „Freie Bühne.“ Oto *Magasin für die Litteratur des In-und Auslandes*, przechodząc z rąk do rąk, pozostało jednak zawsze wiernem kierunkowi realistycznemu, a obecni jego właściciele, nieznani w literaturze, A. Stössel i W. Reisswitz starają się przy pomocy dzielnego współpracownika swego O. Neümanna-Höfera, utworzyć rodzaj umiarkowanego i poważnego centrum, które dawszy odprawę bezczelnej reklamie i adoracyi wzajemnej, oraz płonnym dyskusyom teoretycznym, zawiązało się pod hasłem usilnej pracy wytwórczej. „Uznanym“ ich poetą jest Sudermann, autor dramatu *Die Ehre*. Talentu i poważnego kierunku drużynie tej odmówić nie można; ale kto wie, jakie w łonie jej siły rozkładowe drzemią.

Ladawa.

ALEKSANDER GŁOWACKI

(Bolesław Prus).

IV.

Prus ma o ludziach, o ile ich czyni bohaterami, przekonanie czysto ewangieliczne. Co jest w życiu poniżonem, to w jego powieściach wywyższonem — i naodwrót. Człowiek ukształcony z jego analizy wychodzi głupcem, dobroczyńca — obłudnikiem, prostak — mędrcem, dziecko — filozofem, gbur — czułym poetą. Zdaje się, jak gdyby on mówił nam: świat jest czemś zupełnie innem, niż się przedstawia; ulegamy łudzącym jego pozorom, a powinniśmy przy pomocy zdrowego rozsądku pojąć, że *A* jest *nie-A*, a *nie-A* jest *A*. Ta odwrotność poglądu objawia się u niego szczególnie w umiłowaniu maluczkich. Jak w swych „Kronikach“ unika lotu po szczytach i chętnie zagląda do każdego załamka nizin; nie unosi się nad żadną wielkością, a skwapliwie broni małość, którą nieraz nawet sofistyką rozdyma, ociera z kurzu i brudu, myje i stroi; podobnie w swych utworach zjednywa serca czytelników przedewszystkiem dla istot maluczkich, ciemnych, upośledzonych i sponiewieranych. Gdy pani Wincentowa straciła męża (*Sieroca dola*, 1876), zabrał ją z synem do siebie na wieś poczciwy krewny, który biedną wdowę uczynił guwernantką i klucznicą, pracującą dlań darmo, a sierotę bił za przewinienia swych synów. Gdy zaś przyjął ją, jako płatną nauczycielkę, istotnie zacny sąsiad owego kuzyna, zamożny ziemianin, to wkrótce stracił majątek, skutkiem zbyt gorliwego czytania artykułów, uczących go umiejętnej gospodarki. Wdowa wraca z synem do Warszawy, ale tu umiera na tyfus głodowy. Jej synek dostaje się pod opiekę filantropa, rozmyślającego ciągle nad projektami uszczęśliwiania ludzi, który go uznaje za własne dziecko, powoli zamienia na kopciuszka, a wreszcie oddaje do krawca. Tu mały Jaś nietylko nie zaraża się miazmatami pijacko-złodziejskiej atmosfery, ale nawet oddziaływa uszlachetniająco na dorosłego czeladnika. Nie ulega on również po ucieczce od krawca złym wpływom towarzystwa i związku z piaskarzami, z którymi tylko w beczce sypia, ale kraść i oszukiwać nie chce, a pod skrzydła owego zrujnowanego szlachcica powraca niepokalanym moralnie.

Kowal kochał bardzo swego jedynaka (*Przygoda Stasia*, 1878), ale kiedy dziecko jeszcze było maleńkiem, przywiózł mu w darze... dyscyplinę. Matka również kochała chłopca, ale położywszy go raz spać na polu, po wielu najczulszych pieszczotach, rzekła do niego i psa: „Ja pójdę buraki pleć, a jak się tu nie będziecie dobrze sprawowali, to złapię tyczki i tak wam kości porachuję...“ Bo czytelnik Prusa musi być rozczarowanym z iluzyi, że miłość chłopska jest idealną i nie miesza się z okrucieństwem.

Michałka nazywano we wsi „durnym“ (*Michałko*, 1880), a jednakże on, przybywszy na zarobek do Warszawy, przy każdej sposobności odsłaniał swoją wielką duszę, zdolną do najgłębszych uczuć i najbezinteresowniejszych poświęceń.

Antek był próżniakiem (*Antek*), którego matka nie mogła nagiąć do żadnej pracy i często musiała obijać, jak leśne jabłko. Ale on dlatego nie pilnował trzody na pastwisku i pogrążał się w lenistwie, że go pochłonęła myśl o zbudowaniu wiatraka, a potem marzenia mechaniczno-artystyczne. W szkole ciągle go bili; z kuźni, gdzie zdradził wielką zdolność, kowal go wypędził. Nieszczęśliwy Antek, wyrzeźbiwszy krzyżyk dla uczczenia młodej wójtowej, którą pokochał, zawiesił go w kościele, opuścił wioskę i powędrował w świat.

W *Powracającej fali* (1880) widzimy bogatego fabrykanta z kamiennem sercem, topniejącem tylko jak wosk dla hulającego syna, którego długi i marnotrawcze wydatki pokrywa oszczędnościami na robotnikach. Przedłuża on im bezlitośnie dzień pracy, wyzyskuje, gnębi, aby zwiększyć swoje dochody i nadwyżkę ich opłacać rozpustę i szaleństwa jedynaka. Jest tak okrutnym, że biednej kobiecie, błagającej go o trzy ruble na pochowanie dziecka, odpowiada brutalnie:

— Niech ci się dzieci nie zachciewa, kiedy im nie masz za co sprawić pogrzebu.

Daremnie zgorszony tym egoizmem pastor usiłuje rozgrzać serce przemysłowca ciepłem napomnień chrześciańskich i grozi mu „powracającą falą“ krzywdy, która w winnych uderza zemstą. Sęp coraz głębiej zapuszcza swe szpony fabrycznego wyzysku, a kiedy dla oszczędności oddalił lekarza i felczera, stał się pośrednim sprawcą śmierci zdolnego majstra, który, poszarpany przez maszynę, umarł skutkiem braku natychmiastowej pomocy. Nareszcie Nemezys sprowadziła falę pomsty: młody Adler zginął w pojedynku, a stary, obłąkany z rozpaczą, spalił fabrykę i sam w jej ogniu zginął.

Prus, który w swych zasadach społecznych nie odsuwa się zbyt daleko od złotego środka i jest „konserwatywno-klerykalno-wolnomyślno-arystokratyczno-demokratycznym,“ w przedstawieniu stosunków powyższego obrazu nie użył ani tej radykalnej ostrości, ani tego kolorytu, jakie zastosowałby pisarz demokratyczny czerwieńszej barwy; pomimo to wszakże *Powracająca fala* jest nadzwyczaj wyrazistem, a w literaturze naszej może najwyrazistszem odmalowaniem męczeństwa pracy w niewoli u kapitału. Jak *Michałka* w przeróbce włączono do biblioteki ludu wiejskiego, tak *Powracająca fala* znalazłaby niewątpliwie chętnych czytelników śród ludu fabrycznego. W ruchu umysłowym i społecznym, płynącym dziś szeroko z tego źródła, Prus poniekąd wyprzedził u nas dowodzenia teoretyczne i działalność praktyczną.

Jak widzieliśmy, jest on nietylko obrońcą, ale czcicielem maluczkich i upośledzonych. Nie należy jednak sądzić, ażeby ta jego sympatya, często artystycznie i psychologicznie paradoksalna, przejawiała jakąś suchą lub od życia oderwaną adwokaturę. Nawet wtedy bowiem, kiedy on rzeczywistość zaprawia sentymentalizmem, kiedy w duszach płytkich otwiera bezdenne tonie, a głębokie zasypuje piaskiem, kiedy rozpala ogień w wodzie, a mgle nadaje twardość, kiedy np. dziecku każe filozofować, chłopu zamawiać nauczyciela dla dziecka, które jest jeszcze niemowlęciem, a lichwiarzowi, który wielu „panów wykierował na dziady“ i zgubił wiele „wdów i sierot,“ kupować markę na list niefrankowany, wystawiony w szafce pocztowej, w najdziwaczniejsze osnowy wplata tyle świetnych spostrzeżeń i szczegółów realnych, że jego zmyślanie mieni się ciągle znamionami prawdy. W zbiorku, stanowiącym pierwszy tom *Pism* Prusa, jedna z najpiękniejszych jego powiastek, *Antek*, zawiera opis nauki chłopca wiejskiego w szkole elementarnej. Zgodziwszy się na pewną przesadę, bez której sztuka obejść się nie może, zobaczymy rzeczywistość podpatrzoną w najcharakterystyczniejszych rysach.

— „A dobry też z niego profesor? — pyta matka Antka jednego z gospodarzów o nauczyciela.

— No, niczego. On niby, jak z nim gadać, to taki jest trochę głupowaty, ale uczy— jak wypada. Mój przecie chłopak chodzi do niego *dopiero* trzeci rok i *już* zna całe abecadło — z góry na dół i z dołu do góry.

— E, cóż to znaczy abecadło — odezwał się drugi gospodarz.

— Juźci że znaczy — rzekł pierwszy. Nibyście to nie słyszeli, co nieraz nasz wójt powiadają: żebym ja choć umiał abecadło, tobym z takiej gminy miał dochodu więcej, niż tysiąc rubli, tyle co pisarz.“

Pomimo że Antek posiada zdolności niezwykłe, nie może zdobyć tej wiedzy, o której marzył wójt dla pomnożenia swych dochodów i ustawicznie dostaje tylko chłostę „na rozgrzewkę.“ Skarżącego się pociesza matka:

— „Bo widzisz to początek. Dopiero później będziesz brał i za naukę.“

Dała ona nauczycielowi czterdzieści groszy. Po dwu miesiącach mistrz bezpłatnej oświaty, nie otrzymawszy więcej, oświadczył stanowczo:

— „Ja tam sobie nad nim darmo ręki zrywać nie będę. Taka nauka, jak moja, to nie dla biednych.“

— „Cóżeś się ty wisusie nauczył przez te dwa miesiące? — spytał Antka przyjaciel jego matki.

— Com się tam miał nauczyć! — odparł chłopiec. Kartofle skrobią się tak we szkole, jak i w domu, świniom tak samo daje się jeść. Tyle tylko, żem parę razy profesorowi buty wyczyścił. Ale za to porwali na mnie odzienie przy tych tam... rozgrzewkach.“

Dickens nie umiał pyszniej splatać śmiechu ze smutkiem.

Te pierwsze utwory Prusa, o których mówiliśmy, miały znaczenie rozstrzygające dla jego sławy i rodzaju jego twórczości. Zarysował on się w nich, jako znakomity nowelista, to jest twórca krótkich powiastek, zawierających myśl głębszą, oprawio-

ną w ramy kunsztownego i szczerego humoru, a niezmiernie pożądanych dla każdego pisma peryodycznego. Bo jakkolwiek prasa drukuje powieści obszernie, a nieraz nawet, kiedy one snują swój wątek w sposób zaciekawiający, posiada w nich długotrwałą przynętę dla czytelników, najchętniej wszakże pomieszcza krótkie, jedno lub kilkociągowe, które nie nużą uwagi i olśniewają błyskawicami talentu. Prus tedy, prawdziwy Meissonier nowelistyki naszej, stał się dla dziennikarstwa siłą pierwszorzędną, nieoszacowaną, a zarazem zaczął uprawiać z zamiłowaniem tę niwę, na której wyrastały bujne wawrzyny. O szerokie malowidła się nie kusił i poprzestawał na małych, w których rzeczywiście doszedł do wysokiego mistrzowstwa. Niektóre z tych pięknych klejnotów przeszły do literatur zagranicznych, a jeżeli tam nie oceniono ich należycie, to tylko dlatego, że wystąpiły one nielicznie i,że w przekładach zatarły się przepyszne, dla cudzoziemców często niezrozumiałe barwy miejscowe. Bo czyż niemiec np. może odczuć i pojąć szkołę z „rozgrzewką"?

(D. c. n.).

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Usprawiedliwienie. — Podatek na korzyść podrzutków. — Obowiązek powszechny. — Najlepsze złe. — Medaliki dla zgubionych dzieci i ptojekt stacyi ratunkowej w ogrodzie Saskim. — Emigracya ludu naszego do Brazylii. — Oprawcy zagraniczni. — Potrzeba zatamowania tego ruchu. — W porę!

Jeżeli serce człowieka jest albo salą balową, albo galeryą rozkosznych obrazów, albo ogrodem wonnego kwiecia, albo krynicą ożywczych zdrojów, może ono odbijać w innych echa swego zadowolenia i promienie swego szczęścia. Ale jeżeli serce to jest grobem, w którym spoczywają trumny i nad którym stoi przechowująca jego świętość kaplica, nie wymagajcie, ażeby ono służyło za teatr dla komedyi i farsy. Ludziom gorzko jest w ustach, więc słusznem, bo naturalnem pragnieniem chcą z każdego, podanego im kielicha, pić słodycz; ale niech raczej odtrącą ów kielich, który nie zawiera pożądanego przez nich napoju, niż mieliby wymagać, ażeby weń wyciskał im sok winnych gron ten, kto ich z życia nie zrywa.

Pisma zapewniają, że wkrótce ma być zaprowadzony podatek na utrzymanie przytułków dla podrzutków i że instytucya Dzieciątka Jezus rozwinięta zostanie w paru filiach prowincyonalnych. Jako przyszły płatnik tej daniny, powitałbym ją z najwyższą radością nawet wtedy, gdybym własnym dzieciom musiał ująć chleba dla udzielenia zeń kawałka cudzym, nieszczęśliwym a cierpiącym za cudze winy i niewiny, sponiewieranym przez nędzę i barbarzyński obyczaj, porzucanym na ulicach, drogach i w sieniach, jak szczenięta, których nikt chować nie chce. Bo względem tych istot dłużnikiem jest każdy, zarówno ten, kto je na świat wyprowadza i na męczarnie skazuje, jak i ten, kto jest członkiem społeczeństwa, podtrzymującego ich niedolę i krzywdę. Wobec nich winni jesteśmy mniej lub więcej wszyscy, wszyscy przeto musimy być powołani do spełnienia świętego obowiązku. Jeden z czytelników naszych proponuje, ażeby podatek na korzyść dzieci nieprawych bardziej obciążył mężczyzn bezżennych i bezdzietnych od pewnej określonej liczby lat, aniżeli ojców rodzin. Gdyby tylko tej myśli nie przeciwstawiły się trudności wykonania jej, byłaby ona najzupełniej słuszną, głównie bowiem kawalerowie są ojcami podrzutków. Ale powtarzam: od obowiązku tego nie powinien być uwolnionym nikt podlegający jakiemukolwiek opodatkowaniu. Przedstawiało to zawsze widok dziwny, a nawet wysoce gorszący, gdy dla pomnożenia zasobów przytułku Dzieciątka Jezus puszczano w ruch najrozmaitsze pomysły i koncepty, otwierające mu krętą drogę dla wśliznięcia się do zamkniętych przed niedolą kieszeni i wydobycia z nich jałmużny. Ci radzili na ten cel uszczknąć coś ze zbytku, inni — z nałogu, inni — z gry loteryjnej itp. Po co to lękliwe i nieprzystojne skradanie się! Czemu nie powiedzieć sobie jasno i szczerze: płodzimy i rodzimy ciągle w ogromnej liczbie dzieci, którym nie dajemy ani ogniska domowego, ani czułej opieki, ani praw towarzyskich; dajmy im przynajmniej możność najmizerniejszego istnienia; nie są one synami i córkami jakichś ojców i matek, bo ci się ich wyparli, ale synami i córkami całego społeczeństwa, które wyprzeć się ich nie może i dbać o nie musi.

Mówiąc o tym przedmiocie dawniej, zaznaczyliśmy, że przechowywanie dzieci nieprawych, których natura nie zna, jest barbarzyńską skamieniałością cywilizacyi, że przytułki dla nich utrwalają tę skamieniałość obyczajową, która powinna zniknąć w zupełnem równouprawnieniu, że instytucye tego rodzaju mogłyby uszlachetnić się i odegrać wielką rolę społeczną, gdyby się stały zakładami wychowawczymi dla wszystkich dzieci biednych; nie schodząc wszakże w zasadzie z tego stanowiska, głosujemy za złem mniejszem, za ochronami, które są w każdym razie lepsze od rynsztoków i dołów ustępowych.

Gdyby niedole dziecięce zamykały się tylko w obrębie ich „nieprawości"! Niestety, obok rozpaczliwego chóru podrzutków brzmi w życiu naszem żałosny chór dzieci, zaniedbanych z musu lub lekkomyślności. I na tej wszakże, jak na każdej tragedyi, skrapla się czasem mimowolny humor. Niedawno pisma pochwaliły pewną damę, która zgubiwszy córeczkę w ogrodzie Saskim, ofiarowała światu swój wynalazek, zapobiegający podobnym wypadkom za pomocą... nazwiska, wypisanego wiecznym atramentem na bieliźnie dziecka. Teraz znowu czytamy doniesienie, że jeden z przemysłowców tutejszych zaczął wyrabiać w tym celu medaliki, których jedna strona mieć będzie wizerunek Opatrzności, druga zaś puste miejsce do wpisania imienia i nazwiska dziecka, oraz adresu jego rodziców i opiekunów. Wszystkie te środki zapobiegawcze nosiły dotychczas na swych obrożach psy, ale gdy ich losowi zaczęły ulegać dzieci, zastosowano do nich wypróbowany sposób, zmieniwszy obrożę na medalik. Umieszczone na nim oko Opatrzności tłomaczy dostatecznie reformę pedagogiczną. Dopóki dzieckiem, wyprowadzonem na ulicę lub do ogrodu, opiekowała się nieustannie matka albo jej zastępczyni, nie potrzeba było mu zawieszać na szyi żadnych znaków; ale gdy coraz częściej musiała czuwać nad nim tylko Opatrzność, jako jedyna piastunka, musiano pomyśleć o medaliku. Projekty natychmiast spełnione trzeba podsuwać z ostrożnym namysłem, ale niemniej należy zastanowić się, gdyby wspomniany pomysł nie zaspokoił całkowicie potrzeby, czy nie można rzucać śmiało. Więc projektuję, ażeby matki, zajęte wystawami magazynów na ulicach, lub rozpościeraniem swych pawich ogonów w miejscach spacerowych, ażeby bony, dające się chętnie ranić strzałom Amora z oczu uwodzicieli ogrodowych, ażeby niańki, których troskliwość nie została należycie wypróbowana, pozostawiały dzieci w domu. Wtedy Opatrzność nie będzie musiała ich wyręczać, a medaliki okażą się zbyteczne. Ponieważ zaś niedbali rodzice mogą równie zapomnieć o zawieszeniu swym „pociechom" blaszek, więc jeżeli pierwszy punkt mojego projektu nie będzie przyjęty, polecam urządzenie zacnych kapłanek i ich służebnic drugi: w ogrodach publicznych, a zwłaszcza w Saskim, należy urządzić taką samą stacyę ratunkową, jaka istnieje nad Wisłą, ażeby wtedy, gdy matka lub bona pójdzie do bocznej alei dla skosztowania owocu zakazanego, jakiś czujny Piotr Kocz ratował opuszczone dzieci, tonące w tłumie. Szkoda, że wprowadzeniu w życie tego — jak mniemam — praktycznego pomysłu przeszkodzi zapewne tak śliczne wyilustrowana „medalikiem z Opatrznością i adresem" miłość macierzyńska.

Żaden medalik nie pomoże naszym chłopom i robotnikom, zbałamuconym przez agentów zagranicznych i rzuconym na pastwę ostatniej nędzy w Ameryce. Kodeksy państw europejskich układane były wprzódy, zanim odkryto jaskinie zbrodni, podobne do wadowickiej, więc to nowożytne korsarstwo odbywa się prawie bezkarnie. Ze świeżego procesu w Galicyi wiadomo czytelnikom, że w Europie, a zwłaszcza po ziemiach polskich w Austryi, Prusach i Rosyi, uwija się kryjomo banda łapaczów, który dla napędzenia firmom przewozowym baranów do niecnej strzyży, nakłaniają ciemny lud fałszywemi obietnicami i gwałtem do wędrówki za morze. Schwytany i obrabowany z pieniędzy chłop ratuje się na obcem miejscu od śmierci ciężką pracą u pierwszego lepszego wyzyskiwacza lub ginie z głodu. Ile w ten sposób straciliśmy ludzi i ich zasobów—trudno nawet w przybliżeniu oznaczyć. Pomimo czuwania władzy, pomimo wpływu prasy i ostrzeżeń w książeczkach i pismach ludowych, łowcy zagraniczni nie przestają u nas napędzać prostaczków w swe zdradzieckie sidła. Według *Kuryera codziennego*, w okolicach Łodzi trwa i zatrważający wzrasta emigracya do Brazylii. Ruch ten rozrywa nawet tamy moralne i mąci się pierwiastkami zepsucia. Jedni wyprzedają swoje mienie na podróż do zmyślonego raju, ale inni kradną cudze lub uciekają przed wierzycielami. W nikczemnej robocie mają agentom dopomagać naganiacze miejscowi, łatwiej umiejący durzyć lud. Zbrodniarzów tych powinnaby dosięgnąć ręka sprawiedliwości. Faktu emigracyi zamorskiej, o ile on rozrasta się śród ludu, niepodobna ani lekceważyć, ani wymijać doktrynerstwem, pozostawiającem każdemu swobodę rozporządzania swoją osobą i majątkiem. Gdyby nasz chłop wiedział, co robi, gdyby opuszczał kraj dla istotnej poprawy swego losu, gdyby czynione mu przyrzeczenia nie były kłamliwe, a rozczarowanie straszne, mogiłbyśmy nie zagradzać mu drogi do najdalszej wędrówki. Ale skoro widzimy go prowadzonego na stracenie, mamy obowiązek uchronienia od niechybnej zguby. Dziś już nie ulega żadnej wątpliwości, że zaledwie jeden z tysiąca tych rozbitków wypływa na brzeg i wywalcza sobie pomyślną egzystencyę, że reszta tonie, że agenci emigracyjni są zbrodniarzami, którzy nie popełniliby większego występku, gdyby wywiózłszy nieszczęsne gromady ludzi na morze, przedziurawili statki i potopili ich zdradziecko.

Jesień już kilkakrotnie dmuchnęła na nas swym chłodnym powiewem; odpoczywający i wzmacniający swe zdrowie warszawiacy wracają z letnich mieszkań. Dbała o ich dobro kolej Terespolska zaprowadziła... bilety *sezonowe* z ustępstwem 30% od ceny normalnej za 40 przejazdów. Żandarmi operetki Offenbacha nie przybywali chyba bardziej „w porę." Nieprawdopodobne a prawdziwe.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Reforma gminna w Królestwie Polskiem.—Nowy prąd emigracyjny i jego żywiołowość. — Owoce wyprawy po złote runo. — Pożar Jedlińska. — Donośny dzwonek p. Wróblewskiego.

Samorząd ludu wiejskiego w Królestwie Polskiem, a zwłaszcza, sądy gminne, prze-

stały już odpowiadać wymaganiom władzy centralnej. Za staraniem generał-gubernatora, weszła na porządek dzienny sprawa reformy tych dwu instytucyj. Zarząd gminny, który zdaniem gazety *Nowoje Wremia*, w wielu punktach zbliża się do zarządów włościańskich w wewnętrznych guberniach Cesarstwa, miał przedewszystkiem na celu „uniezależnienie“ ludności wiejskiej. W tej myśli, powiada rzeczone pismo, włościanom nadano prawo nietylko swobodnego wyboru z pośród siebie sołtysów, wójtów i sędziów, ale i samodzielnego radzenia o wszystkich ważniejszych swych potrzebach, jako to: o sprawie wykształcenia, kredytu wiejskiego, dobroczynności i dobrobytu publicznego. Aż do r. 1870, dopóki gminy pozostawały pod błogim wpływem Komitetu Urządzającego, one funkcyonowały bez zarzutu, a sądy gminne nietylko nie wywoływały żadnych skarg, lecz, co więcej, stawiane były za wzór sądom wiejskim, istniejącym w guberniach wewnętrznych. Ale, niestety, wraz ze zwinięciem Komitetu Urządzającego, reformy administracyjne w Królestwie Polskiem zatrzymały się w swym biegu: gmina doszła do stanu, w którym nie może już należycie wypełniać obowiązków, włożonych na nią przez jej twórców. Stopniowo bowiem liczba gmin zmniejszyła się do połowy, a istniejące rozrosły się do olbrzymich rozmiarów, skutkiem czego uczestnicy zebrań gminnych nie mogli częstokroć dojść do zgody w najprostszych sprawach. Zdarzało się np. iż jedna wieś stawiała swoich kandydatów, nie uznając kandydatów wsi sąsiednich. Otóż wobec tego wszystkiego (nie licząc innych powodów) uznano za konieczne przeprowadzić reformę w dwu kierunkach: przywrócić gminom zatracone, pierwotne granice terytoryalne i poddać ich zarząd ściślejszej, kontroli „faktycznej“ rządu. Co zaś do sądów gminnych, to jakkolwiek uprzednio, pod wpływem powstałych chwilowo wątpliwości, czy odpowiadają one potrzebom kraju oraz zasługują na poparcie w dalszym swoim rozwoju, omało nie zostały skazane na całkowitą zagładę; po wszechstronnem wszakże zbadaniu i przekonaniu się, iż miejscowa ludność z nimi się „zżyła“ i do niedawna jeszcze zupełnie z nich była zadowolona — nie znaleziono podobno dostatecznej podstawy do całkowitego zniesienia tej instytucyi, powołanej do „detalicznego“ wymiaru sprawiedliwości. Sądy więc gminne ocaleją, lecz ulegną radykalnemu przekształceniu; przedewszystkiem zaś, jak zapewnia *Nowoje Wremia*, uwolnione będą od „postronnych żywiołów, które w ostatnich 20 latach (od 1870 r.) zdołały tak dalece spaczyć kierunek pożytecznej tej instytucyi...“

Najnowszem łożyskiem, którem potoczyła się nasza fala wychodźcza jest już nie Hamburg v. Brema-New-York, lecz Hamburg v. Brema-Rio Janeiro czyli Brazylia. Ruch emigracyjny w tym kierunku, po Żmudzi, ogarnął okrąg łódzki. W Łodzi i jej okolicach przybiera on „zastraszające“ rozmiary. Z Pabianic, Zgierza, Konstantynowa i Aleksandrowa donoszą korespondenci o „mnóstwie“ tkaczów i rzemieślników, którzy wywędrowali do Brazylii. Nawet włościanie z okolic Łęczycy, Poddębic i Ozorkowa podążają także w te pędy, wyprzedając się z gruntów i dobytku. Te oschłe i oderwane od właściwego tła stosunków społeczno-ekonomicznych, doniesienia same przez się nie dużo mówią, ale odsłońmy to, co pragnęłoby pozostać w ukryciu, a roztoczy się przed nami pełen dramatu obraz, wyjdzie na jaw starannie chowane w draperyach frazeologii dziennikarskiej przysłowiowe „szydło z worka“ i ujrzymy istotne oblicze, Rzeczony ruch wychodźczy jest wypadkową zastoju w przemyśle łódzkim i agitacyi agentów różnych towarzystw morskiej żeglugi parowej. Źle opłacani lub zaliczeni do „rezerwy roboczej“ najmici, zagrożeni głodem, mieli do wyboru albo nadwerężenie praw własnościowych, albo spokojne z nadzieją „nagrody niebieskiej“ schodzenie do grobów, po długiej walce z wycieńczeniem. Zjawili się agenci emigracyjni i w zbolałe dusze zasiali ziarna nadziei, roztoczyli przed łatwowiernem i ciemnem ubóstwem urocze obrazy raju ziemskiego, nie szczędzili wymowy, żeby Brazylię wystawić, jako obiecaną ziemię, miodem i mlekiem płynącą. „Tam cytryny rosną i same się napraszają, żeby je zrywać, do lasu po rodzynki chodzić można, zboże rodzi się bez uprawy, bawełna bez plantacyi, nierogacizna tyje bez udziału człowieka i czeka tylko łaskawego obucha...“ Nie jeden tkacz-najmita i kmiotek gospodarz, oczarowany widmem szczęścia zamorskiego, spienięża manatki, sprzedaje wyjałowiałą, wązką działkę ziemi — i rusza za ocean. Za zbiegami gonią nawoływania i klątwy opuszczonych na brzegu kierowników produkcyi rolnej i przemysłowej, oraz smarowników jednej i drugiej — wierzycieli: „Bydło niecierpliwe, zaczekaj, oto świta jutrzenka podboju rynków wschodnich, Persyi, Japonii i Chin — będzie lepiej; lub zostaw swoich sobowtórów, którzyby wytwarzali nadwartość...“ „Wyrodki, stójcie, zapłaćcie dług, komorne!“ — „Zostańcie, — woła junacko *Dziennik łódzki* — na wasze miejsce, na niekarczowane obszary Brazylii wypchniemy od nas kolanem... niemców!“

Milicya przemysłowa nie słucha ani rozpaczliwego wołania fabrykantów, ani złorzeczeń kamieniczników i lichwiarzy, ani obietnic Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, nie rozumie pobożnego westchnienia *Dziennika łódzkiego* — i idzie w rozsypkę. Pozostali majstrowie wrą gniewem. W Tomaszowie np., dopadłszy agenta, który się uwijał pomiędzy ludnością roboczą i namawiał czeladników do emigracyi, obijają go w „okropny sposób.“ Sądy łódzkie zasypane są pozwami kamieniczników i lichwiarzy przeciwko emigrującym do Brazylii. „Właściciele domów w dzielnicach robotniczych przerażeni są szybkim wzrostem liczby pustych mieszkań po robotnikach, na których miejsce nie zgłaszają się inni lokatorzy (*Wiek*).“ W Kaliszu spuszczono szluzy i zatrzymano kilkaset osób, przekradających się potajemnie za granicę — do Brazylii... *) A fala wychodźcza płynie, ślepa, niewymierzona statystycznie, niezorganizowana, rozbijająca się o niewdzięczne, twarde brzegi ziemi obiecanej, płynie i wynosi ludność przeważnie przemysłową na grunt brazylijski, spieczony promieniami słońca podzwrotnikowego...

Zamiast złotego runa, Jazoni nasi, którzy w ucieczce od nędzy przedsięwzięli opłakaną wyprawę, powitani zostają na obcym brzegu przez żółtą febrę i starą towarzyszkę — nędzę. A agenci emigracyjni? Patrzmy, czy po za ich plecami nie gromadzą się już materyały do nowego procesu wadowickiego. Wiele za tem faktów przemawia. Ci panowie z pewnością zapuszczają wędkę do sadzawki Łazarza. Idzie im głównie o nabicie swej kieszeni i zbogacenie towarzystw przewozowych, a może zaledwie w setnej części — o zaspokojenie popytu plantatorów brazylijskich na siłę roboczą. Aby tem więcej głupich a zgłodniałych rybek złapać na haczyk, uważają za rzecz dla siebie niezbędną łudzić ciemną i łatwowierną ludność przesadnemi obietnicami czekającego ją za morzem dobrobytu, zamilczając zupełnie o istotnym stanie kraju, który przebywa ciężki przełom w życiu politycznem i gospodarczem. Najlepiej może scharakteryzuje rolę agentów względem wychodźców następujący ustęp z *Dziennika łódzkiego*: „W tych dniach robotnik Kalinowski otrzymał od swego szwagra, Zielińskiego z Brazylii list, w którym tenże opisuje, że emigrantom przybyłym z kraju tutejszego nie pozwalają pisać listów, prawdziwie przedstawiających położenie przybyszów. Agenci zmuszają do pisania listów zachęcających. Najczęściej zaś tak bywa, że dowiedziawszy się o adresie krewnych przybyszów, piszą listy sami. Zieliński z żoną pracują, jako robotnicy, przy plantacyach o 20 mil za głównem miastem Brazylii i zarabiają o wiele mniej, niż w kraju. W liście swym proszą krewnych, aby przysłali im pieniędzy na powrót. Kilkanaście rodzin, które wybrały się do Brazylii z zapasem gotówki, wystarczającym zaledwo na koszty podróży do Kalisza, powróciło o żebraninie do Łodzi. Opowiadają oni, że żadnych pieniędzy na drogę zagranicę wychodźcy nie otrzymują, do wskazanych zaś przez agentów miejsc, gdzie dostają zasiłek pieniężny, muszą podróżować na własny koszt.“ Taki to jest wynik wyprawy po złote runo do Kolchidy amerykańskiej naszych Jazonów...

Do długiej litanii pogorzeli, które tego lata strawiły setki chałup i budynków gospodarskich, nawiedziły krocie wiosek, osad i dworów w porze letniej, urozmaicały jak zwykle, nasze krajobrazy sielskie — wieczorem łuną, a w dzień dymem — dając świadectwo rodzimemu niedołęstwu pod względem organizacyi środków ratunkowych, do tej litanii przybył pożar Jedlińska. Zatrzymam dłużej uwagę na tym wypadku, ze względu na jego rozmiary, jak również z powodu p. Wróblewskiego, który z dolą pogorzelców związał losy swego organu (*Gazety radomskiej*) i dał świetny przykład, do jakiego stopnia głośny dzwonek frazeologii, z uporem targany w próżni społecznej, może niekiedy być przydatnym. Jedlińsk, dawniej miasteczko, a dziś osada, założony został w wieku XVI, przez Mikołaja Jedlińskiego, dziedzica obszernych włości, na mocy przywileju uzyskanego od Zygmunta I w r. 1530. Rządził się przeto prawem magdeburskiem i miał prawo miecza. O 12 wiorst oddalony od Radomia, oblany jest dwiema rzekami, od południa Radomką, a od wschodu Tymienicą. W czasie napadu szwedów w roku 1655, przywilej jego lokacyjny wraz z nim samym zginął w ogniu. Pamiętny on w dziejach, szczególniej bitwą z austryakami w r. 1809. Po najściu szwedów miasteczko to było zawsze małe i ubogie. Dopiero po pożarze w r. 1840 zabudowało się porządniej, ożywiło pod względem przemysłu i wzrosło w ludność. Od r. 1869 Jedlińsk jest osadą. Do dnia katastrofy liczył 1,250 mieszkańców, przeważnie chrześcian, którzy się trudnią szewctwem (100 osób), kuśnierstwem, tkactwem, rzeźnictwem. Urząd wójta gminy, szkoła elementarna, szpital, dom starców i kalek, stacya pocztowa i kasa gminna — oto są jego instytucye społeczne. Szynków ma kilka, ale pijaństwo nie kwitnie, bo zaprowadzona w r. 1863 wstrzemięźliwość nałóg ten niemal wykorzeniła. Prócz rzemiosł jedlińszczanie trudnią się uprawą roli. Jedlińsk słynny jest wreszcie z corocznej zabawy ludowej pod nazwą: „ścięcie śmierci w kusy wtorek.“ Taki to szanowny, wstrzemięźliwy i bogaty w tradycyę gród nawiedziła straszliwa klęska w d. 22 lipca r. 1890. „Rano jeszcze mieszkańcy ze spokojem patrzeli na mienie swoje i dobytek. W kilka godzin później stali się nędzarzami, bez dachu i chleba. Wśród zgliszcz dymiących widzisz tu i owdzie zwęglone zwłoki krów, gęsi, trzody i drobiu — niedopałki sprzętów.. Wieczorem bydło, powracające z paszy, ryczy żałośnie, szukając legowiska, z którego już niema śladu. Setki rodzin rozłożyły się obozem nad rzeką i z niemą rozpaczą spoglądają na popioły swego mienia — sterczące kominy, walące się resztki ścian

*) *Dziennik łódzki* donosi, że niektórzy fabrykanci tameczni, oddający towar do roboty tkaczom ręcznym, podwyższyli im płacę od sztuki towaru wyrobionego. Ponieważ ta kategorya robotników także ogarnięta została gorączką emigracyjną, wygląda więc to tak, jak gdyby usiłowano ją utrzymać w zapasie na czasy lepsze okruszynami ze stołu biesiadniczego...

i przepierzeń murowanych (*Gaz. radom.).*" Spaliła się poczta, sąd i urząd gminny, bożnica, 94 domy mieszkalne, 56 stodół, 82 obory, 8 śpichlerzy, 2 wozownie, łaźnia, 3 kuźnie i t. d. Zabudowania będące własnością 96 mieszczan, zabezpieczono na sumę 40,820 rs. Majątku nieubezpieczonego zgorzało na sumę przeszło 160,000 rs.

Pan Wróblewski z początku nie wierzył katastrofie, ale gdy się naocznie przekonał, w jednej chwili oddał na usługi filantropii łamy swego pisma i stanął na czele organizacyi pomocy dla pogorzelców. „Potrzeba: mąki, kaszy, słoniny, herbaty, cukru, zboża na zasiew, odzieży męskiej, damskiej i obuwia! W razie zmniejszania się ofiarności, pogorzelcom *zagraża głód!*" Oto stała piosnka, powtarzana przez niego z uporem kwestarza i dźwięcząca nad uchem ogółu. Jakkolwiek p. W. z okoliczności niesienia pomocy ofiarom klęski, za dużo mówi o sobie, jakkolwiek wyraźnie postanowił przy ogniu Jedlińska upiec pieczeń sławy swego dziennika, ale darujmy mu to. W roli pośrednika pomiędzy ofiarnością publiczną, a pogorzelcami oraz w sprawie wynajdywania nowych zasiłków (urządzania zabaw na rzecz biedaków) i wogóle, jako organizator pomocy dla nieszczęśliwych — położył niebylejaką zasługę. Wziął się do tego bardzo zręcznie i energicznie. Publiczność radomska i okoliczna ozwała się też echem żywej sympatyi, w odpowiedzi na ten głośny dzwonek.

Z. Atanazy.

KRONIKA.

Narodziny nowego rynku.

Komitet giełdowy warszawski otrzymał od departamentu handlu i rękodzieł (z polecenia ministra skarbu) odezwę, opiewającą, iż poseł japoński przy dworze petersburskim, zawiadamiając o zamiarze urządzenia w mieście Osaka w Japonii stałej wystawy prób i wzorów miejscowych i zagranicznych towarów, zwrócił się do ministra skarbu z prośbą o dopomożenie mu w zebraniu i wysłaniu na ową wystawę wyrobów przemysłu ruskiego. Wystawa ta ma na celu poprawienie rozwoju stosunków handlowych Japonii z państwami zagranicznemi. Poseł wyraził życzenie, żeby w rzędzie prób znalazły się w szczególności następujące towary: wyroby bawełniane: perkal, kreton, chustki, pończochy, nici itd.; wełna i wyroby z niej: sukna, tkaniny i trykotaże, a także materye meblowe; materye półjedwabne na odzież i meble; len, konopie i wyroby z nich: płótno, bielizna stołowa, liny, sznury itp.; wszelkiego rodzaju skóry garbowane; miód, wosk oraz świece woskowe; cukier, tytoń. Departament handlu i rękodzieł zwraca uwagę na doniosłość rzeczonej propozycyi ze strony rządu japońskiego i radzi komitetowi giełdowemu, żeby zajął się rozpowszechnieniem tej myśli, zebraniem okazów i przesłaniem ich do Petersburga z odpowiedniemi objaśnieniami. Dalszą podróżą okazów zajmuje się poseł japoński. Okazy winny być wysłane jeszcze w ciągu miesiąca sierpnia (st. st.). Próby tkanin winny być w odcinkach 4 do 5-łokciowych.

Komitet giełdowy, oceniając całą ważność gotowania się nowego rynku na Wschodzie, postanowił rozesłać do fabrykantów i przemysłowców okólniki, zapraszające do przyjęcia udziału w wystawie państwa mikadów.

SZKOŁA DUBLAŃSKA.

Wyższym zakładem rolniczym jest szkoła w Dublanach. Przytaczamy bliższe o niej szczegóły. Kurs nauk trwa trzy lata, czyli sześć półroczy. Wykładane są wszystkie nauki zasadnicze, jako pomocnicze w stosunku do zawodowych. Wykłady uzupełniane są przez demonstracye i ćwiczenia praktyczne w gospodarstwie dublańskiem, wycieczki do wzorowych gospodarstw, fabryk, stadnin, na wystawy itp., jako też prace w laboratoryach szkoły. Jako środki do wykładów i ćwiczeń służą: folwark dublański, pole doświadczalne, ogród botaniczny, pasieka, biblioteka i czytelnia, zbiory naukowe (fizyczne, mineralogiczne, botaniczne itd.), laboratorya (chemiczne, botaniczne, zootomiczne, rolnicze), stacye doświadczalne. Skład nauczycieli: 7 profesorów zwyczajnych, 2 profesorów adjunktów, oraz odpowiednia liczba docentów i asystentów. Nadzór zwierzchniczy nad szkołą wykonywa Wydział krajowy, porozumiewający się w sprawach ważniejszych z ministeryum rolnictwa.

Egzaminy są dwojakie. W ciągu studyów: z fizyki, chemii, mineralogii, botaniki, zoologii, ekonomii politycznej i statystyki, oraz z inżeneryi wiejskiej. Każdy z tych egzaminów zdaje się z całego przedmiotu; po wysłuchaniu zatem wszystkich wykładów i przebyciu wszelkich ćwiczeń odnośnych. Po ukończeniu studyów—drugi egzamin, główny, który składa się: z ustnego, z wypracowania na piśmie i z obrony jego ustnej. Ustny obejmuje całość nauki rolnictwa, hodowli i administracyi. Przedmiotem egzaminu piśmiennego jest zupełne opracowanie projektu organizacyi gospodarstwa. Kandydat, który zdał egzamin główny, otrzymuje świadectwo z ukończenia nauk. Niezdający egzaminów szczegółowych, lub ten, który w ciągu roku szkołę opuszcza, dostaje świadectwo frekwentacyjne; student, który trzechlecie ukończył, dostaje „absolutoryum," tj, świadectwo z nadmienieniem, że uzyskał prawo przystąpienia do egzaminu głównego.

Wpisy studentów rozpoczynają się 23 września, wykłady zaś 1 października każdego roku. Warunki przyjęcia są następujące: Studenci są zwyczajni i nadzwyczajni; stosownie więc do tego i wymagania się zmieniają. Kto uzyskał patent w gimnazyum, rządowej szkole realnej (na wydziale zasadniczym), ma prawo wstąpić do szkoły dublańskiej, jako student zwyczajny, za prostem zgłoszeniem się i złożeniem w kancelaryi swoich dokumentów. Kto skończył gimnazyum, szkołę realną lub inny jaki zakład (uznany przez kolegium profesorów za równorzędny), ale bez patentu, lub kto uzyskał patent z wydziału handlowego szkoły realnej, ma prawo przystąpić do egzaminu wstępnego. Egzamin ten polega na próbie ustnej z matematyki i fizyki zakresu gimnazyum filologicznego, oraz na wypracowaniu piśmiennem na temat ogólny. Termin do egzaminu wstępnego wyznacza kolegium profesorów, w ciągu pierwszych dwu tygodni półrocza zimowego. Zgłaszający się później może być przypuszczony do egzaminu tylko na skutek podania, w którem przytoczone będą powody zwłoki, godne uwzględnienia. Wyjątkowo, za osobną uchwałą, zatwierdzoną przez kuratora szkoły, kolegium profesorów przypuścić może do egzaminu wstępnego kandydata, który nie ukończył ani gimnazyum, ani innej szkoły średniej. W takim razie kandydat zgłosić się powinien osobiście. Studentem nadzwyczajnym może zostać każdy, kto wykaże, iż odbył studya w jakimkolwiek wyższym zakładzie naukowym, lub przez czas dłuższy zajmował się gospodarstwem rolnem i posiada odpowiednie wykształcenie. O przyjęciu stedentów nadzwyczajnych orzeka kolegium profesorów. Studenci zwyczajni obowiązani są słuchać wszystkich wykładów, nadzwyczajni zaś wybierają wykłady. Pierwsi mogą być uwolnieni za uchwałą kolegium od słuchania przedmiotów studyowanych przez nich w innym zakładzie naukowym, oraz od egzaminów szczegółowych, które tam zdali.

Wpis na pierwsze półrocze wynosi 67 złr. Każdy, kto się wylegitymuje z ubóstwa, zostaje uwolniony od opłat, jeśli w końcu I półrocza zda 3 kolokwia (egzaminy półroczne) z naukzasadniczych; w końcu II, III i IV po 2 egzaminy, w V zaś półroczu wykaże, iż zdał wszystkie szczegółowe egzaminy. Te same warunki tyczą się również pragnących uzyskać stypendyum, jako też posiadających je.

Studenci mieszkają na wsi, w chatach włościańskich. Najmniejsze koszty utrzymania rocznego wynoszą od 250 do 300 złr., bez opłat szkolnych. Wielu studentów utrzymuje się ze stypendyów. Tych ostatnich jest 25 na ogólną sumę 849 złr.; przytem Sejm przeznacza rocznie na zapomogi 500 złr. Istniejące w Dublanach od lat 25 akademickie „Towarzystwo bratniej pomocy" ma na celu niesienie zasiłku swym członkom (studentom) tak materyalnego, jak umysłowego, co osiąga przez wypłatę pięciu stypendyów po 50 złr. rocznie, udzielanie pożyczek, utrzymywanie biblioteki i czytelni dla użytku członków itd. Biblioteka liczy blizko 4,000 dzieł (6,000 tomów), czytelnia sześćdziesiąt kilka pism peryodycznych.

Przemysł i handel. W majątku Krasne, należącym do p. Tadeusza Dutkiewicza, w powiecie kieleckim, odkryto pokłady rudy żelaznej na obszarze 453,453 sążni kwadratowych; w majątku zaś Mroczków, należącym do p. Antoniego Libiszewskiego, w powiecie opoczyńskim, natrafiono na pokłady rudy żelaznej i gliny ogniotrwałej. Pokłady te zajmują obszar 500,000 sążni kwadratowych. Urzędowe sprawdzenie pokładów w majątku Krasne nastąpić miało 22, w Mroczkowie zaś 24 lipca r. b. Eksploatacyi podejmą się właściciele tych majątków.

— W Moskwie d. 13 sierpnia otworzono oddział towarzystwa dla eksploatowania ogniotrwałej substancyi Babejewa.

— Oddział banku państwa stanowczo będzie zniesiony w Piotrkowie. Na prośbę o utrzymanie instytucyi, ministeryum dało niedawno odpowiedź odmowną. Za to niema jeszcze żadnej odpowiedzi na prośbę o pozwolenie na otwarcie w Piotrkowie miejskiego towarzystwa kredytowego.

— Gebethner i Wolf otwierają w Łodzi skład nut i fortepianów.

— W petersburskiem towarzystwie popierania przemysłu i handlu odbędzie się w ciągu nadchodzącej jesieni szereg narad o środkach, mających na celu polepszenie stanu południowego przemysłu węglowego.

— W ministeryum skarbu poruszono obecnie sprawę założenia towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń okrętów floty przemysłowej na brzegu murmańskim w celu uwolnienia przemysłowców północnych od wyzysku akcyjnych towarzystw ubezpieczeń.

— Złożono w ministeryum skarbu do zatwierdzenia projekt ustawy „rusko-japońskiego towarzystwa handlowego," na którego czele stoją A. Miasnikow, Firsow i inni kapitaliści z Moskwy i Petersburga. Towarzystwo otwiera faktorye handlowe: w Tokio, Kioto, Kobe, Osaka, Nangasaki, Jokahama, Kumanoto i Nagoja.

— W Taraszczy, w gub. kijowskiej, w czasach ostatnich rozwinęło się pomyślne jedwabnictwo (*Dz, łódz.*).

— Wkrótce będzie otwarta w Petersburgu agentura dla starań o przywileje na wynalazki u rządów państw zagranicznych i pośredniczenia przy eksploatacyi wynalazków ruskich zagranicą.

— W Petersburgu ma być urządzona na początku przyszłego roku wystawa wyrobów drobnego przemysłu gubernij: petersburskiej, pskowskiej, nowogrodzkiej i wołogodzkiej.

— Minister skarbu zamierza odbyć podróż do posiadłości ruskich w Azyi środkowej, celem zbadania naruków dla utworzenia wielkich zakładów przemysłowych i handlowych na terytoryum Buchary i Chiwy.

— W Łodzi powstaje fabryka jabłecznika. Będzie to druga w kraju po istniejącej już w Radomiu.

— W Petersburgu powstaje towarzystwo dla wywozu ruskich towarów do Persyi. Zamierza ono wywozić i *towary łódzkie* (*Dz. łódz.*).

— Wielu młynarzy ruskich wysłało swoich werkmajstrów zagranicę, celem obznajmienia się z urządzeniem młynów tamecznych i poznania, jakie gatunki mąki są głównie używane zagranicą.

— W okręgu jurtowskim, na Kaukazie, w pobliżu wsi Jurt-Auch, odkryto nowe źródło nafty.

Kredyt drobny. Ministeryum spraw wewnętrznych zamierza wiejskie instytucye kredytowe w Rosyi oprzeć na podstawach, przyjętych przez kasy gminne w Królestwie Polskiem, jako bardzo praktycznych.

Szkoły. Kursy pszczelnicze w nowo zorganizowanem Muzeum pszczelniczo-ogrodniczem przez p. Lewickiego (w alejach Ujazdowskich, 16) już zostały otwarte, a w dniu 26 sierpnia rozpoczęły się egzaminy z pszczelnictwa, ogrodnictwa, jedwabnictwa i budowy ulów.

— Trzecią z rzędu szkołę malarstwa i rzeźby dla kobiet otwiera pani Bronisława Poświkowa. Szkoła składać się będzie z trzech oddziałów. Kierunek rysunku głów i figur obejmie Kazimierz Alchimowicz; ornamentacyi, rysunku stylowego, malowania majoliki, gobelinów, kwiatów z natury oraz malarstwa przemysłowego p, Bronisława Poświkowa; wypalania na skórze i drzewie—p. Marya Kunigowska; haftu artystycznego—p. Chorążyna; rzeźby i modelowania — p. Aleksander Borawski.

— W instytucie inżynierów komunikacyi i inżynierów cywilnych w Petersburgu wprowadzony będzie wykład inżynieryi rolniczej.

— Podług sprawozdania urzędowego, gub. warszawska liczy 559 zakładów naukowych elementarnych i średnich. Uczęszczało do nich w przeszłym roku szkolnym 30,904 młodzieży, 19,456 chłopców i 11,448 dziewcząt. Biblioteki szkolne posiadają dzieł 20,244, czyli 128,596 tomów, oraz 17,500 sztuk rozmaitych kart, modelów i wzorów. W gabinetach fizycznych znajduje się 4,316 różnych przyrządów i okazów.

— Liczba kobiet, zapisujących się do niewieścich szkół zawodowych w tym roku jest niezwykle wielką.

Życie społeczne. Kasa oszczędności przy urzędzie pocztowo-telegraficznym w Łodzi, otwarta 14 sierpnia, rozwija się pomyślnie. W ciągu czterech dni zapisało się 17 uczestników, którzy złożyli około 200 rubli.

— Władze odnośne w Petersburgu otrzymały prośby kilku kobiet o dozwolenie im urządzenia artelu kobiecego dla kolporteryi książek i gazet.

— W Łodzi zamierzone jest dokonanie spisu jednodniowego ludności.

— W ministeryum sprawiedliwości opracowano projekt przepisów o pomocnikach adwokatów przysięgłych. Projekt obiecuje pomocnikom, iż będą mieli prawo bronić spraw we wszystkich instytucyach sądowych w państwie, lecz,.. za upoważnieniem swych patronów.

Emigracya. Idea kolonizacyi Palestyny wśród żydów wzrasta. W Wilnie zawiązało się kółko z 20 osób, które drogą 500-rublowych zapisów złożyło 10,000. Za tę sumę postanowili uczestnicy nabyć w Palestynie kawał ziemi. Kółko wysyła dwie osoby z pomiędzy siebie na miejsce, celem zbadania warunków kupna i widoków powodzenia (*Wil. wiestnik*).

— Ministeryum spraw wewnętrznych zakazało działalności agentom zagranicznym, werbującym wychodźców do Brazylii. W ostatnich czasach pojawiło się ich mnóstwo w kraju zachodnim.

— Znamienném jest, że uniesione gorączką wychodźczą tłumy robotników w okręgu łódzkim uważają ludzi, nawołujących do upamiętania, za przekupionych przez fabrykantów... Mniemanie to uważać trzeba za wynik budzącej się świadomości, iż interes kapitału jest często sprzeczny z interesem pracy...

Sprawy najmickie. Z rozporządzenia departamentu kolejowego na dwu stacyach drogi warszawsko-wiedeńskiej, skupiających największą liczbę robotników, urządzone być mają *łaźnie parowe i pralnie ogólne*.

— Jeden z techników warszawskich wystąpił z projektem urządzenia przy stacyi pomp wodociągowych przy ulicy Czerniakowskiej, gdzie nieustannie działają maszyny parowe — *bezpłatnej pralni ludowej*. Pralnia taka w mniemaniu projektodawcy odzwyczaić ma biedaków od fatalnego pod względem zdrowotnym prania bielizny w „ubogich izdebkach..."

— Niektóre z praw, dotyczących pracy małoletnich w fabrykach i zakładach przemysłowych, będą rozciągnięte na chłopców sklepowych. Właściciele sklepów np. obowiązani mają być do pozostawiania swoim małoletnim najmitom czasu wolnego na uczęszczania do szkoły, jeżeli ci nie ukończyli kursu szkół ludowych (*Peterb. wiedom.*).

Sprawy kolejowe. Częste kradzieże, popełniane na kolejach żelaznych, skłoniły ministeryum komunikacyi do zorganizowania wolnych związków w celu przechowywania bagażu pasażerskiego. Tłomoki i pieniądze pasażerowie będą mogli oddawać naczelnikowi związku, dla złożenia w osobnym oddziale bagażowym, z którego według potrzeby brać będą napowrót swe rzeczy w czasie ruchu pociągu.

— Przy departamencie kolejowym ministeryum skarbu utworzono specyalną komisyę, w sprawie zniżenia taryfy, dla przewozu przetworów nafty.

— W departamencie kolejowym zbierane są obecnie dane do ułożenia taryfy strefowej, która rodzajem, próby, ma być zaprowadzoną na kilku kolejach Cesarstwa i jednej Królestwa.

— Dochody dróg żelaznych w Węgrzech, po wprowadzeniu taryf strefowych, wzrosły o 2,048,033 złr.

Zdrowie publiczne. Departament kolei żelaznych zażądał od stowarzyszeń kolejowych dokładnych wiadomości o środkach, jakie obecnie użyte być mogą na drogach żelaznych dla zapobieżenia wybuchowi cholery, oraz o wysokości potrzebnych na to wydatków.

— Do zatwierdzenia rady państwa wniesione być mają w jesieni r. b., wypracowane w ministeryum spraw wewnętrznych, nowe przepisy o nadzorze lekarsko-sanitarnym w fabrykach prywatnych.

— Inżynier, p. L. Pluszczewski, złożył zarządowi miasta projekt urządzenia w Warszawie komory oziębionej za pomocą frigorifera Fixary, w której rzeźnicy, restauratorzy i t. d. za pewną stałą opłatą najmowaliby pewną przestrzeń do przechowywania zapasów żywności. Byłoby to z korzyścią przedewszystkiem dla spożywców, gdyż zapasy w porze letniej nie ulegałyby prędkiemu zepsuciu. Podobno projekt ten został przyjęty przez zarząd miasta przychylnie.

Zjazdy. W Chicago na rok 1892 amerykanie postanowili zwołać międzynarodowy kongres kobiet-lekarek.

Pożary. Biała miasto powiatowe gub. siedleckiej, uległa pożarowi z 26 na 27 b. m. Rozmiary klęski są wielkie *Kuryerowi codziennemu* donoszą, że przeszło czwarta część grodu znajduje się w gruzach, a około 4,000 mieszkańców, przeważnie ubogiej ludności żydowskiej, zostało bez chleba i dachu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Maryanowi. Był to niewątpliwie przypadek (umożliwiony zapewne wspólnością rozmów, myśli i t. d.); żadnego „prawa" dla takich snów psychologia nie posiada i nie zna.

O G Ł O S Z E N I A.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 17 Августа 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.